AKTORKA.

AKTORKA

DRAMAT W 5 AKTACH

ORYGINALNIE NAPISANY

PRZEZ

AURELEGO URBAŃSKIEGO

Pierwszy raz przedstawiony na Scenie Lwowskiej 6. Grudnia 1869.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KSIĘGARNI ZELMANA IGLA
(przy ulicy Sykstuskiej l. 134.) 1/4

1872.

OSOBY.

HRABIA EDWARD ŻMUDZKI.
HENRYK, jego syn.
FABRYCY.
BARON SZARSKI.
MULEWICZ, guwerner Henryka.
RUSTEJKOWA, wdowa po artyście dramatycznym (*ślepa*).
MARYA, jej córka.
KORYOLAN CYNCYNAT BOBEK, dyrektor trupy wędrującej.

GOLIAT, bohater. ODROBINA, komik. CZARNY CHARAKTER.	aktorowie wędrujący.
EMILIA PULCHERYA FLORA AMANCYA	aktorki wędrujące.

SUFLER.
SŁUGA FABRYCEGO.
SŁUŻĄCA MARYI

Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w miasteczku, nieopodal stolicy; w następnych w jednem z miast obwodowych; po akcie pierwszym upływa lat kilka.

AKT I.

(Scena przedstawia uliczkę małego miasteczka. — Po lewej od widzów na przodzie sceny bok dworku z gankiem obluszczonym. W głębi widok na ogrody i domki. — Z prawej od widzów dom w głębi — na przodzie po prawej altana).

Scena 1.

(*Hrabia Edward wchodzi zwolna zamyślony; kapelusz głęboko nasunięty na czoło; ręce w tył założone*).

Hr. EDWARD.

Ciągle ta myśl... czy ona mnie jednak do celu doprowadzi? Ojciec jej był aktorem... Ona zawsze z zapałem o jego sławie wspominała... Powtarzała tak często, że chętnie wstąpiłaby w jego ślady, gdyby nie wola matki. Nigdy z taką trudnością nie przychodziło mi zerwać związku, który stawał się nadal niemożliwym... A jednak dziś

muszę to zakończyć... dziś nie ulęknę się już jej gołębiego wzroku... Miałem dość czasu nabrać odwagi... pójdę! (*Postępuje kilka kroków ku domkowi — wstrzymuje się*). Dziwne wzruszenie... Nie mogę zebrać myśli... Kostkę trzymam w dłoni; ale jakże mi trudno rzucić ją, abym mógł powiedzieć: Już się stało! (*Idzie szybko ku domkowi; staje u drzwi wahając się; puka*). Cóżto? Nie ma nikogo?... Wyszły zapewne... (*Oglądnąwszy się*) Ha — otóż one... Przeklęcie... Chciałem pomówić z Maryą samą... Usuńmy się i czekajmy korzystniejszej chwili. (*Odchodzi w głąb i opuszcza scenę kryjąc się*).

Scena 2.

MARYA (*wprowadza ostrożnie z prawej ślepą matkę; obie skromnie, ale czysto odziane. Twarz staruszki cierpiąca*).

MARYA.

Oto już nasz domek. Czy przechadzka orzeźwiła Cię trochę?

RUSTEJKOWA.

Dziękuję ci, dziecię moje... Wiosenne to powietrze obudza we mnie obumierające życie... Ach, mam go tak mało...

MARYA.

Usiądźmy mamo, jesteś zmęczoną. *(prowadzi ją ku altanie i sadza ją).*

RUSTEJKOWA.

O, czemuż stara, ociemniała kaleka odmłodniałej przyrody oglądać nie mogę?... Słyszę ptasząt spiewy, słyszę szemrzące gałęzie... W około tak lekko, swobodnie — tylko w głębi mej duszy jakiś smutek nurtuje złowrogi...

MARYA.

Nie... nie... mateczko.. To tylko niemoc piersiowa napawa Cię ciągłym niepokojem. A jednak przecież Ci lepiej, nieprawdaż? Poczciwy lekarz nietylko nadzieję mi przywrócił, lecz i uspokoił zupełnie...

RUSTEJKOWA.

Tak; czuję, że wiosna powraca mi siły. *(chwila milczenia)* Czy Edwarda i dziś nie było jeszcze?

MARYA (*cichym głosem*).

Nie, mamo...

RUSTEJKOWA.

Cóż go wstrzymywać może? podobno już tydzień, jak nie był u nas; a przecież do stolicy

tak blisko... Czy nie chory, moje dziecie? nie pisał?

MARYA (*j. w.*)

Nie, mamo..

RUSTEJKOWA.

Niewiem dlaczego, Maryo, ale od chwili, jak za jego poradą opuściłyśmy stolicę, lękam się o ciebie. Dlaczego uległyśmy jego namowom? Maryo... czy on ciebie kocha jeszcze?

MARYA.

O mamo! Ty pytać możesz?!...

RUSTEJKOWA.

Biedny twój ojciec nie może być świadkiem waszego szczęścia. Jakże radować go musi, tam, w Niebiesiech, iż znalazłyśmy takiego opiekuna w naszem sieroctwie. Żal mu tylko zapewne, że nie możesz korzystać z pięknego talentu, jaki po nim odziedziczyłaś. On tak chętnie byłby cię widział na scenie, w obec tej publiczności, której był ulubieńcem. Ale ja nigdy nie bywszy aktorką niepowściągnięty czuję wstręt do sceny.. Sława artystki jest nęcącą; ale sidła czyhające na jej zgubę stokroć są straszniejsze. Zresztą ja, ślepa

matka, złą byłabym opiekunką, a nadto wielkim ciężarem dla aktorki.

MARYA.

Jam szczęśliwą przy tobie, mateczko....

RUSTEJKOWA.

O twój ojciec, wielki to był artysta, moje dziecię, a poczciwość jego nie ustępywała jego sławie. Imię jego dotychczas wymawiane z uwielbieniem, i co więcej, z szacunkiem. Dziecię — ty będziesz godną twojego ojca!

MARYA.

O matko! (*klęka i skłania głowę na kolana matki*).

RUSTEJKOWA (*pieszcząc się jej włosem*).

Byłam ubogą, poczciwą dziewczyną, gdy mię poznał i pokochał twój ojciec, a nakoniec zaślubił. Byłam bardzo, bardzo szczęśliwą...

MARYA.

I ja nią będę niezawodnie!

RUSTEJKOWA.

Obyś nią była Maryo!

MARYA.

Jakto, czy wątpisz mamo o jego miłości?

RUSTEJKOWA.

Obawiam się, dziecię, czy ona nieostygła; ty tego nie widzisz, bo nadto go kochasz. Lecz choć nieruchoma źrenica moja oglądać go nie może, ucho matki czyta w jego głosie..

MARYA.

Mamo, on jest tak wspaniałym, tak dobrym — Ja mu tak wierzę... Jeśli zauważałaś w nim jaką zmianę, to jest ona tylko skutkiem rodzinnych jego stosunków... (*na stronie*) O gdyby ona wiedziała jakie jest stanowisko Edwarda, wierzyć mu przestałaby zupełnie... (*chwila milczenia*).

RUSTEJKOWA.

Umilkłaś, dziecię moje?... Tak, tak, ubogi malarz nie jest panem swojego czasu... On nie mógł przybyć, jeśli go dni tyle nie było. Przebacz ślepej, nieszczęśliwej matce zbyt ostre może słowo. Ja ciebie tak kocham Maryniu!

MARYA.

Ja mam Tobie przebaczyć?

RUSTEJKOWA.

To powietrze upaja mnie; ciało zmęczone domaga się wypoczynku.... zaprowadź mnie do mojej izdebki... Usiądziesz przy mnie, a ja trzymając dłoń twoją w mojej dłoni usnę na chwilę — Ach. tak mi dobrze przy tobie...

(*Marya wprowadza ją do dworka*)

Scena 3.

Bobek — Goliat

(*Bobek w rajtfraku, z żabotami u piersi i u rąk; pierścienie na palcach; spodnie w butach węgierskich; ogromna dewizka u zegarka; szkiełka na taśmie. Goliat: buty do konnej jazdy z ostrogami; płaszcz Almawiwa z fantazyą przez ramię przerzucony; kaszkiet na lewe ucho; wąsiki do góry; hiszpanka, fontaź pod szyją. Ubiór obudwóch mocno przeszarzany — Goliat ukrywa pod ramieniem pęk afiszów, w dłoni garnek z klajstrem i kwaczem*).

BOBEK (*oglądając się wchodzi na palcach*)

Synku panie kochany — subordynacya — niema nikogo. Ulica się krzyżuje — ten róg wyśmienity na afisz!

GOLIAT (*patetycznie deklamując*).

Dyrektorze, miej względy na me stanowisko!
Niech nie widzi publiczność jak upadłem nisko.

Jak artysta-bohater poniżon w swej pysze,
Przebóg — O wielkie nieba — nalepia afisze!

BOBEK.

Raz ci mówiłem — synku panie kochany — zachowaj sobie te rymy na scenę. Tu sypiesz jak z worka, a na scenie — synku panie kochany — sufler cię tylko trzyma, i to połowę mówisz wierszem a połowę prozą! Subordynacya!

GOLIAT *(j. w.)*

Czy połknąłem wam kiedy choć rymu połowę?
Odpowiedz, słucham, czekam—masz tu moją głowę!

BOBEK.

Głowę, głowę, co mi po niej? pal djabli twoją głowę. Nie głowa, ale organ stanowi artystę, organ — subordynacya — panie kochany.

GOLIAT.

Przy takiej gaży organ mam zbyt przyzwoity.
Zapłać pan lepiej, a będę ci spiewał tenorem!

BOBEK.

Co to? Grubijaństwo?

GOLIAT.

Odpłacam równą monetą.

BOBEK.

Tak, synku panie? Łamiesz kontrakt — marsz na cztery wiatry!

GOLIAT.

Czy pan sądzisz, iż bez niego nieobejdzie się taki artysta, jak ja?

BOBEK.

Zginiesz jak pies z głodu — synku panie — zginiesz!

GOLIAT (*patetycznie*).

Cóż z tego? Będę sobie jak ów kwiatek polny;
Choć zginę jak pies z głodu, ale zginę — wolny!
Masz tu klajster i afisze;
Na Berdyczów niech pan pisze! (*stawia je na ziemi i udaje że chce odejść*).

BOBEK.

Synku panie, mistrzu, czekaj! — Subordynacya! — Artyści niepowinni tak się rozchodzić! powinienem gardzić tobą, a jednak ja ci przebaczam.

GOLIAT.

Bo mnie potrzebujesz!

BOBEK.

Przekonàm cię, że obejdzie się bez ciebie moja trupa artystyczna.

GOLIAT.

Dyrektor w Kołaczycach daje mi większą gażę.

BOBEK.

O piąteczkę — synku panie — o piąteczkę.

GOLIAT.

Nie będzie prześladował mego organu.

BOBEK.

Organ, organ! Co tam organ — synku panie — Nie organ, ale głowa, głowa, stanowi artystę.

GOLIAT.

Dopiero mówiłeś...

BOBEK.

Subordynacya, mistrzu, milcz!

GOLIAT.

Winien mi pan jesteś coś z gaży.

BOBEK.

Głupstwo — synku panie — jak mi dobrze pójdzie w tem miasteczku, podwyższę ci gażę.

GOLIAT.

Obiecanka cacanka.

BOBEK

Będzie dziś spektaklik, jak złotko.

GOLIAT.

Gaża!

BOBEK.

Bo to... A piłeś ty — synku panie — śniadanie? Popatrz no mistrzu: (*dobywa flaszeczki*) Ja raz i ty raz.

GOLIAT.

To czyści organ.

BOBEK.

A widzisz — synku panie — napijmy się. Ty raz i ja raz. A potem zgoda! Albożmy to nie

mistrze, nie artyści? (*pije i podaje Goliatowi; ten pije*) A co? Smaczna?

GOLIAT.

A gaża?

BOBEK.

Zgoda między nami?

GOLIAT.

A gaża?

BOBEK.

Czyś sfiksował — synku panie kochany? Niby to ja kopię pieniądze?

GOLIAT.

Dyrektor w Kołaczycach daje mi więcej.

BOBEK.

Subordynacya — synku panie!

GOLIAT.

Bądź pan zdrów!

BOBEK·

Czekaj! (*dobywa sakiewki*) Masz guldenka tymczasem. Ssij moją krew.

GOLIAT (*chowa papierek z zimną krwią*).

Tania krew!

BOBEK.

A teraz mistrzu do roboty! Według kontraktu jako najwyższy z całego towarzystwa lepić masz — synku panie — afisze. Drabinka skompromitowałaby nas, a ty jej nie potrzebujesz. Na tym rogu wyda się afisz znakomicie. Lep synku. (*Goliat westchnąwszy zabiera się do lepienia*). Afisz to wezykatorya, co ciągnie. — Kiepski afisz, kiepskie interesa. W tem moja głowa. — Wyżej synku panie! Wyżej! — Tak!

GOLIAT (*oglądając się*).

Nikt nie widział?

BOBEK (*delektując się*).

„Dnia tego a tego, w niedzielę, pod osobistą „dyrekcyą Koryolana Cyncynata Bobka, artysty „z Warszawy, — „Okropna zbrodnia“ — czyli „— „Śmierć tyrana“ — czyli — „Trucicielka z arszenikiem“, dramat w siedmiu aktach z pro- i epilogiem. — Brawo! Brawissimo! Synku panie kochany, jeszcze kilka afiszyków i na próbkę! Subordynacya!

GOLIAT.

Mam chrypkę.

BOBEK.

Oj ty—ty! — Synku panie! — Dubluj mistrzu! (*podaje mu flaszkę*).

GOLIAT (*napiwszy się*).

Baczność; ktoś nadchodzi.

BOBEK.

Człowiek jakiś porządnie ubrany; zobaczysz, złapie się na afisz jak na wędkę. — Co widzę? Hrabia Żmudzki. Znam go ze stolicy. O, to mecenas teatralny. Artysto, schowaj kwacz i odejdź na stronę. Wsunę mu kilka bilecików.

GOLIAT.

Skompromitujesz mnie pan jeszcze z twym kwaczem. (*odchodzi zakrywając się*).

Scena 4.

Hr. Edward — Bobek.

EDWARD (*nie widząc go*).

Nabrałem zimnej krwi — Skończmy!

BOBEK (*w ukłonach*).

Jaśnie wielmożny hrabio—synku panie kochany!

EDWARD (*stając*).

Co tam?

BOBEK.

Koryolan Cyncynat Bobek, dyrektor trupy artystycznej. Przybywam z Zagórnika. Dam tu kilka nadzwyczajnych przedstawień. Jaśnie wielmożny hrabia jako mecenas i protektor sztuk pięknych...

EDWARD.

Zkąd pan mnie znasz?

Ze stolicy, ze stolicy, gdzie bawiłem prywatnie rok cały, z powodu chwilowego zamknięcia mego przedsiębiorstwa.

EDWARD (*na stronie*).

Dziwne zrządzenie losu...

BOBEK.

Dziś pierwsze, nadzwyczajne przedstawienie. Tam afisz. Jaśnie wielmożny pan hrabia, jako mecenas i protektor... Oto bileciki do wyboru.

EDWARD.

Panie Bobak —

BOBEK.

Bobek do usług, synku panie.

EDWARD.

Pan jedziesz dalej ze swojem towarzystwem?

BOBEK.

Robię wycieczki artystyczne. Moja trupa najliczniejsza o dziesięć mil w około. Znakomita, synku panie. Siedm osób. Czteru mężczyzn — trzy kobietki — jedenaścioro dziatek — same aniołki. Mam bohatera, synku panie, mistrza, jakiego na prowincyi nikt nie posiada. Czarny charakter, aż mróz przechodzi. Co za organ! — Jak huknie, aż się teatr trzęsie. A moje talenta niewieście —

EDWARD.

Mógłbym panu dopomódz, gdybyś zechciał.

BOBEK.

Wszystko dla pana hrabiego; nawet repertoar zmienię. Zbójcy, Król Lear, Twardowski na Krzemionkach.

EDWARD.

Nie o to mi idzie — inne postawię warunki.

BOBEK.

Wszystko, wszystko do usług — synku panie — subordynacya!

EDWARD.

Słuchaj że pan... W tym dworku mieszka piękna, wykształcona dziewczyna. Mojem jest życzeniem, abyś się starał pozyskać ją dla swej trupy.

BOBEK.

Młoda?

EDWARD.

Młoda.

BOBEK.

Piękna?

EDWARD.

Piękna.

BOBEK.

Więcej nie potrzeba. Synku panie, angażuję ją. Grywać będzie pierwsze kochanki. Zapewne materyał surowy?

EDWARD.

Przeciwnie. Talent niezwykły. Akwizycya jakich mało; za to ręczę. Jest to sierota po sławnym artyście Rustejcce.

BOBEK.

Synku panie, co słyszę! Nogi całuję panu hrabiemu. Wszak to skarb! Na pierwszy występ dam trzyłokciowe afisze! Subordynacya!

EDWARD.

Nie będzie z nią samą nadzwyczajnych trudności. Ona drży z zapału na samo wspomnienie sceny. Idzie tylko o przełamanie uporu matki.

BOBEK.

Jestem Cyceronem co do wymowy — a co do argumentów Palmerston nieboszczyk niech się schowa.

EDWARD.

Chciałbym, aby to nastąpić mogło jak najrychlej. Jeszcze jedno... Jak wspomniałem, jest przy niej stara matka.

BOBEK.

Może grywać matki, bony i powiernice.

EDWARD.

Milcz pan — ona jest — ślepą.

BOBEK.

Hm... Nieszczęśliwa kaleka... Ale to nic nie szkodzi... Wynajdziemy dla niej ślepe role.

EDWARD.

Nudzisz mnie pan. Stara nie potrzebuje pracować. Ja postaram się o to. Jeśli pan przeprowadzisz dobrze ten interes, możesz liczyć na moją protekcyę.

BOBEK.

Za pozwoleniem. Zaabonujesz pan hrabia lożę i basta. Synku panie, Rustejkówna w mojej trupie — to skarb nieoceniony.

EDWARD.

Usuń się pan teraz. Za godzinkę możesz powrócić, aby dobić targu.

BOBEK.

Całuję nogi pana hrabiego. Ale — jedno zapytanie..

EDWARD.

Mów pan.

BOBEK.

Czy nie wdaję ja się w jaki brudny interes? Przepraszam — synku panie — Bobek nie splamił się nigdy.

EDWARD.

Możesz pan być spokojny — biorę wszystko na siebie.

BOBEK.

Niech to nie obraża pana hrabiego. Ale i my, my mistrze komedyanci — mamy także kawał mięsa w piersi, co się sercem nazywa i odrobinę sumienia. (*Kłania się i odchodząc mruczy strzepując palcami*). Rustejkówna — afisz na trzy łokcie — fora mistrzu Bobek — synku panie — subordynacya!

Scena 5.

EDWARD (*sam*).

Głupiec. Komedyant bez butów — a prawi o sumieniu i sercu! — Sumienie! Dziecinny wynalazek, aby nim straszyć ludzi silnej woli, jak straszy się chłostą szkolnych żaków. Dzielny umysł, który nad wszystkiem panować zdoła, potrafi także zapanować i nad owem problematycznem sumieniem.

Scena 6.

Hr. Edward — (*wybiega*) Marya

MARYA (*rzucając mu się na szyję*).

Edwardzie! Edwardzie! To ty, mój kochanek, mój mąż, mój świat cały! — O niedobry! Tyle dni nie byłeś u mnie — tyle dni nie widziałam Ciebie. W jakiejże trwodze przepłynęły mi te samotne chwile... Mówże, pociesz mnie, uspokój!

EDWARD.

Przebacz Maryo, nie mogłem.

MARYA.

Jakże obojętnie odpowiadasz mi na gorące moje zapytania! — Tyś cierpiący?.. O jam już sądziła, żeś mnie przestał kochać, żem już zobojętniała memu Edwardowi. Z jakimże niepokojem tłumiłam rosnące podejrzenia, które jak piekący jad wślizgały się w moje serce; a ja musiałam jeszcze tłumaczyć biednej matce twoją długą nieobecność!

EDWARD.

Więc matka dopytywała się o mnie?

MARYA.

Możesz-że wątpić? Ona kocha ciebie jak syna. Tyś dla niej ciągle jeszcze biednym, pracowitym malarzem. O gdyby ona wiedziała że to był niewinny podstęp z twojej strony, aby znaleźć przystęp do naszego domu, ach — ona-by straciła resztę wiary w twoją szlachetność... a gdyby wiedziała... jak daleko zaszedł nasz stosunek, o Edwardzie, Edwardzie ona-by mnie przeklęła... *(zasłania oczy płacząc)*.

EDWARD

Uspokój się, dziecię — Usiądź... Jesteś zbyt egzaltowaną.

MARYA.

Jakże zimne twoje wyrazy... Padają one tak ciężko na gorące moje serce, jak łzy ze ślepych oczu mojej matki... *(rzucając mu się na szyję)* Edwardzie, straszna jakaś niepewność nęka mnie... Ty mnie kochasz jeszcze — nieprawdaż? O gdybyś był dłużej jeszcze przewlókł dzień twego przybycia, Edwardzie — jabym była z niepewności samej — umarła...

EDWARD (*na stronie*).

Trudna będzie przeprawa... (*głośno*) Przywidze-

nie, moje dziecię. Ludzie nie umierają tak nagle... Jesteś egzaltowana. Prawdziwe dziecko aktorskie.

MARYA.

Edwardzie, jeszcze nigdy nie przemawiałeś tak do mnie.

EDWARD.

Trzeba mieć rozum moje dziecię... rozum przedewszystkiem.

MARYA.

Co to ma znaczyć? Ja Ciebie dziś nie pojmuję...

EDWARD.

Wszak nie jesteś małem niemowlęciem; spodziewam się więc, że i wszelkie dziecińtwo dalekiem będzie od ciebie. Usiądź tu przy mnie... Jesteśmy sami... pomówimy ze sobą rozsądnie (*przyciąga ją do altany*).

MARYA

Edwardzie, ty coś złego masz mi do powiedzenia; ja czytam to w oczach twoich, w twoim głosie... O jakże chciałabym przewlec tę chwilę... Truchleję...

EDWARD.

Nic złego, nic. Uspokój się. Chwilę tylko pozwól rozsądkowi zapanować nad sercem.

MARYA (*słabo*).

A więc mów, co masz mówić...

EDWARD.

Jesteś młoda, jesteś piękna, wykształcona dziewczyna; powinnaś zrobić karyerę i zrobisz ją.

MARYA.

Edwardzie!

EDWARD.

Nie przerywaj mi Maryo. Powinnaś zebrać siły, gdyż nam nad przyszłym losem twoim zastanowić się wypada.

MARYA.

Jakto?... Czy sen okropny trapi moje zmysły?... Czy dobrze pojmuję?... Więc miałoby nastąpić —

EDWARD.

Rozłączenie — Maryo — rozłączenie.

MARYA.

Okrutny! Nie pojmuję oziębłości, z jaką wymawiasz ten wyraz zabójczy! Czy nie czujesz, że ostrzem swojem godzi w samo tętno mojego życia?

EDWARD.

Czuję to i boleję nad tem... Pokochałaś mię Maryo całą duszą twoją — wszak i ja ciebie tak kochałem... Byłaś posłuszną memu skinieniu... I ja także byłem gotowy do wszystkich ofiar względem ciebie i matki twojej... Jednak minęły chwile szału. Rozsądek musi w końcu wziąść nad nim górę. Obiecałem cię zaślubić... Nawet w listach moich masz tego dowody... przyznaję.

MARYA.

Więc oszukiwałeś mnie!

EDWARD.

To był szał. Miejmy rozum.

MARYA (*zrywając się*).

Masz go nadto, panie hrabio... O ja nieszczęśliwa.

EDWARD.

Nie będziesz nią Maryo. Postanowiłem zapewnić ci los. Ojciec twój wielkim był artystą...

MARYA.

Nie wspominaj pan mojego ojca.

EDWARD.

Stolica grzmiała odgłosem jego sławy. Maryo, w tobie płynie krew znakomitego artysty. Jakże piękna przyszłość uśmiecha się tobie!

MARYA (*z obłąkaniem*).

O matko!

EDWARD (*zimno*).

Czy jest życie ponętniejsze, jak życie aktorki? Wśród hołdów, kwiatów, oklasków dnie płyną... Oto droga prowadząca cię do celu...

MARYA (*składając ręce*).

Zlituj się nademną...

EDWARD.

Uspokój się. — Bawi tu trupa aktorska. Dyrektor jej przyjmie cię z otwartemi rękoma. Mówiłem z nim. Pojmujesz Maryo, iż jeśli rozłączenie jest koniecznością, natenczas lepiej będzie jeśli jak najdalsza przestrzeń nas rozdzieli (*pauza*).

MARYA (*po chwili pasowania się*).

Nikczemny! W celu uwiedzenia nieszczęśliwej zbyt ufającej ci ofiary, skradłeś imię ubogiego, szlachetnego malarza. Wśliznąłeś się między mnie a starą matkę i przywiodłeś do tego, że więcej w ciebie wierzyłam, jak w nią! Sprzysiągłeś się na moją zgubę i dokonałeś jej starłszy dziewiczość, z mego czoła i spaliwszy moje usta zjadliwym pocałunkiem namiętności; a teraz chcesz mnie rzucić na pastwę hańby i rozpaczy?— O nie, panie hrabio! — Nie wszystko ci jeszcze wiadome... Jedno słowo, słowo tajemnicze, którego dotychczas nie wypowiedziałam przed tobą pod naciskiem wstydu, to słowo wstrzyma — musi wstrzymać podłe twe zamiary, jeśli w twej piersi choć cień pozostał honoru. Wzdrygnąłeś się nieszczęsny? Zrozumiałeś mnie! — O tak, panie hrabio, związek nasz nie powinien, nie może być zerwany. Doprowadziłeś do ostatniego kresu, lecz przestąpić go nie będziesz miał siły i odwagi!

EDWARD (*na stronie*).

D i a b l e!

MARYA (*po chwili milczenia przystępuje do niego i badawczy wzrok zatapia w jego oczach — potem odskakuje z przerażeniem i okrzykiem gwałtownej rozpaczy*).

Podły!

EDWARD.

To niedobrze — to niedobrze Maryo... A jednak... Zresztą zapewnię los was wszystkich...

MARYA (*padając na kolana*)

Zimno mi... strasznie zimno... zamiast serca czuję kawał lodu... Edwardzie zlituj się nademną. Jeśli miłość twoja mimo przysiąg ostygła, ja cię obwiniać nie będę... Potajemnie uświęć nasz związek błogosławieństwem kościoła... uspokój nieszczęsną, starą kalekę... daj imię istocie, która nic nie zawiniła i opuść mnie — opuść — nie powracaj nigdy... Ja nie chcę ci nadal być w życiu ciężarem...

EDWARD (*ponuro*).

Maryo — tajemnica, której ci w zamian za twoją udzielę, dowiedzie ci, że nie zła wola, ale okoliczności zmuszają mnie do tego kroku... Szałem owładnięty dopuściłem się tego przekroczenia, że zataiłem ci prawdę... Wiesz, że nie jestem już tak młodym... Maryo — ja jestem mężem i ojcem dorastającego młodzieńca...

MARYA (*z okrzykiem rozpaczy*).

Boże w niebiesiech!

EDWARD.

Ja byłem szalonym Maryo.

MARYA.

Nikczemnym, bez serca byłeś, okrutniku! Czy nie obawiasz się, aby rozpacz twojej ofiary pomsty bożej nie ściągnęła na całą twoją rodzinę?!

EDWARD.

Stało się... Maryo — Moje listy...

Scena 7.

CIŻ I RUSTEJKOWA.

(Rustejkowa, która o drzwi oparta przysłuchiwała się była tej rozmowie, kroczy chwiejąc się wprost ku niemu z wyciągniętą dłonią).

RUSTEJKOWA.

Oto je masz zbójco! *(rzuca mu listy pod nogi).*

EDWARD (*na stronie*).

Słyszała wszystko.—

MARYA (*zrywając się*).

O matko moja!

RUSTEJKOWA *(przystępując jeszcze bliżej do hrabiego).*

Potworze! Niech Bóg sprawiedliwy pomści na twojem dziecku hańbę mojego dziecięcia! — Precz! *(pada)* Precz!

MARYA *(rzucając się przy niej na kolana).*

Zabiłeś ją! Zabiłeś!

EDWARD *(zbierając listy z ziemi).*

Nie spodziewałem się takiej katastrofy.

BOBEK *(wchodzi).*

Słyszałem wszystko mimowoli... *(biegnie ku Rustejkowej i dotyka się jej czoła)* Nie żyje!! — — *(odwraca się do Edwarda)* Panie hrabio! Stary komedyant rzuca ci wzgardę w oczy — — Jesteś — podły!

(ZASŁONA SPADA).

AKT II.

(Pokoik Fabrycego. — W głębi drzwi wchodowe. — Na prawo od widzów schodki prowadzące do pokoju Henryka. — Obok okno. — Fabrycy spiewa stojąc w środku sceny z podniesionym kieliszkiem — po lewej od widzów przy stoliku, na którym w nieładzie butelki, karty i cygara, siedzą grając bezika: przodem ku publiczności Goliat, po lewej stronie stolika Henryk, którego ubiór trochę w nieładzie.—Po prawej stronie stolika we fotelu drzymie Odrobinka z kieliszkiem w opuszczonej ręce.)

Scena 1.

HENRYK, FABRYCY, GOLIAT, ODROBINKA.

FABRYCY (*spiewa*).

Niech żyje wesołość bez miary:
Dla głupców są ciernie i głogi.
Niech spiewa godzinki, kto stary,
My młodzi tak żyjmy, jak Bogi!
Tralala — tralala — itd.

WSZYSCY (*wtórując pod nosem*).

Tralala — tralala — itd.

FABRYCY (*j. w.*)

Dopóki fortuna nam wierna,
W loteryę z nią zagrać nie szkodzi;
Gdy skrewią zaś amba i terna,
Pigułka z ołowiu nie zwodzi!...
Tralala — tralala — itd.

WSZYSCY (*j. w.*)

Tralala — tralala — itd.

FABRYCY (*j. w.*)

Więc żyjmy wesoło bez miary:
Dla głupców są ciernie i głogi.
Niech spiewa godzinki, kto stary,
My młodzi, tak żyjmy, jak Bogi!
Tralala — tralala — itd.

WSZYSCY (*j. w.*)

Tralala — tralala — itd.

ODROBINA (*drzymiąc*).

Wszystko to wielka prawda — bez winka i bezika życie djabła warte.

GOLIAT (*grając*).

To po teatralnemu tak się wyraża:
Tym pogardzam—ten kulfon—ten ma w głowie bzika,
Kto nie wie co to winko i nie gra bezika.

ODROBINA (*j. w.*)

O ty płynnomowna ozdobo naszej sceny — niech cię uściskam! (*Chce wstać, lecz zatacza się i pada w fotel*).

FABRYCY.

Niech więc żyje wesołość kawalerska!

HENRYK (*do Goliata*).

Szalone masz pan szczęście. Znowu przegrałem.

GOLIAT.

Odegrasz się hrabio. Rewanż.

ODROBINA (*j. w.*)

A cóżto? Hrabia chce orżnąć artystę? Od kogoż wygrać, jak nie od tego, co ma pieniądze? — Hę?

FABRYCY.

Słusznie! — Słusznie!

HENRYK (*rzuca karty*).

Znowu przegrałem! Dalej już grać nie będę! (*płaci przegrane*).

GOLIAT (*z zimną krwią chowając pieniądze*).

Głupstwo! Wszak powiadają: Kto przegrywa w karty —

ODROBINA (*drzymiąc*).

Ten ma łeb obdarty.

GOLIAT.

Nie to chciałem powiedzieć. Ja to tak wyrażam:
Gdy przegrywasz w karty, dziękuj Opatrzności,
Tracisz na kieszeni, zyskujesz —

FABRYCY

W miłości! Brawo! Dwuwiersz godny pierwszego bohatera naszej trupy artystycznej. A prawda w tem wielka ukryta. Dowodów tego nie mało. — Wiesz co, Henryku, spróbuj się!

HENRYK.

Jakto? w czem?

FABRYCY.

W miłości, przyjacielu, w miłości! Jesteś młody, przystojny, gładki, a co więcej, pełne masz kieszenie. W twoim wieku stosuneczki są na porządku dziennym.

ODROBINA (*kiwając się*).

Niech żyje miłość — i wino — i bezik — i Odrobina także niech żyje! (*zasypia*).

GOLIAT (*przystępuje do Fabrycego i klepie go po ramieniu*).

Nie ucz hrabiego, panie Fabrycy. Nie jest on wcale od tego. Przynajmniej mam niejakie wskazówki...

HENRYK.

Ależ panie...

GOLIAT.

Ho, ho, mam ja oczy, mam.

HENRYK

Moi panowie —

FABRYCY.

To się nie godzi, Henryku! (*na str.*) Miałżeby rozpocząć co bezemnie?

GOLIAT (*ze znaczeniem*).

Hrabia pytał mnie razy kilka o pewną moją koleżankę...

FABRYCY.

A więc — aktorka?

HENRYK.

Było to przypadkowe zapytanie — ciekawość...

GOLIAT.

Ach panowie — te wdzięki — te oczy — ta cera!
Wszak przy niej jak subretka, stałaby Wenera.

FABRYCY.

Intrygujecie mnie!

ODROBINA (*zrywa się*).

Na ustęp! Jestem trefniś jego królewskiej mości!
Za mną szambelanie!! — (*urywa*) Dobranoc! (*zasypia*)

FABRYCY.

Szanowny komik przeszkadza nam trochę. Przyznaj się przyjacielu: któraż to z naszych pań zakulisowych tak ci się podobała? Mów!

GOLIAT.

Nie wypieraj się hrabio. Piękna Marya nie na tobie pierwszym wywarła takie wrażenie.

FABRYCY.

A więc panna Marya! Winszuję ci. Idzie tylko o to, czy i ona będzie ci wzajemną.

HENRYK.

Moi panowie — Nie zaprzeczam — Panna Marya silne na mnie zrobiła wrażenie...

FABRYCY.

A zdrajco, a ty nic mi nie wspomniałeś! — Masz więc tajemnice przed twym najlepszym przyjacielem? Brawo! Widzę, że nie próżnujesz, i że nie idą w kąt moje nauki. Już ja tobą pokieruję. Ha, ha, smaczny kąsek ta — ta panna Marya!

ODROBINA (*zrywając się*)

Kto wspomniał imię Maryi? — Pijemy, dobrze. Gramy bezika, dobrze. Ale od jej imienia — wara!

GOLIAT.

Uspokój się—nic tu złego o niej nie mówią.

Wiesz przecie, że naszej Maryi ubliżyć nie pozwolę.

FABRYCY.

Wszak o aktorkach mówić wolno.

ODROBINA.

O aktorkach! — Aktorka! — — (*idzie do Henryka i kładzie ręce na jego ramionach*) Słuchaj, młody panie hrabio: Powiadają, że w winie prawda; a więc posłuchaj! Aktorka!... A czy wiesz ty, panie hrabio, że te aktorki, których imiona prześlizgują się codziennie przez usta wasze, te aktorki, spotwarzane, odepchnięte od waszych towarzystw, to są jeszcze anioły w obec tych waszych dam, co kręcą na nie nosami? Pijany jestem — więc mówię prawdę Po trzeźwemu możebym ci jej nie powiedział. Jeśli aktorka czysta, powątpiewacie z uśmiechem; a jeśli upadnie — to moi panowie wasza wina! Wina! Wina staremu komikowi — niech żyje wesołość! (*pada w fotel*)

HENRYK (*na str*)

Poczciwy! Uściskałbym go serdecznie.

FABRYCY.

Nie zważaj Henryku na te ekspektoracye sza-

nownego Odrobinki; lecz raczej powiedz mi, czy poznałeś się z nią bliżej?

HENRYK.

Nie... nie miałem sposobności...

FABRYCY.

Aj ty Platonie, Platonie! Było mi słówko pisnąć, a byłbym ciebie z nią zapoznał. Ręczę, że twemu guwernerowi ani się nie śni, jak się wykrzesujesz pod mojemi opiekuńczemi skrzydłami. Chwała Bogu, że cię poznałem w waszym przejeździe na dworcu. Gdy masz zamiar zwiedzić naszą Galileę, nie zawadzi zabawić choć kilka tygodni w naszem obwodowem mieście. Guwerner, który (rzekłszy nawiasem) prochu nie wynalazł i nie wynajdzie, przystał chętnie — i oto jesteś u mnie. Wprowadzę cię w świat, jak spadkobiercy takiego nazwiska i takiej fortuny przystoi. Gdy cię poznałem Henryku w stolicy, jako kolegę mego młodszego brata, uczułem zaraz do ciebie nadzwyczajną sympatyę. Pomyślałem sobie: oto młodzieniec, który nie umie jeszcze używać swego majątku — musisz go wziąść w opiekę. Zaczniesz mi więc teraz na świat innemi spoglądać oczyma!

GOLIAT (*ironicznie*)

To mi przyjaźń i poświęcenie! Widać to zaraz! Hrabia zaledwie dni kilka tutaj bawi, a umie już rozróżnić Cliquot od Jacksona, a bezika gra jak Paganini!

FABRYCY.

Zdrowie mego przyjaciela hrabiego Henryka! (*pije*).

GOLIAT.

Wiwat! Niech żyje!

ODROBINA (*zrywa się*).

Wiwat! Apropòs, a czyje to zdrowie?

GOLIAT.

Aleksandra Wielkiego.

ODROBINA.

Vive l'empereur! (*zasypia*).

GOLIAT (*do Henryka*).

Żyj nam—wznoszę ten toast po dawnym zwyczaju,
Szlachetna latorośli i nadziejo kraju!

HENRYK.

Serdecznie, serdecznie dziękuję —

FABRYCY.

Pij Henryku!

HENRYK.

Nie mam silnej głowy. Dość piłem już dzisiaj.

GOLIAT.

Jak nas kochasz!

FABRYCY.

Jak mnie kochasz!

ODROBINA (*drzymiąc*).

Jak mnie kochasz! Jak mnie szanujesz!

GOLIAT.

Dla przyjaźni dał się cygan powiesić! (*Henryk pije*).

FABRYCY.

Za twoje-to pieniądze ten nektar, mój przyjacielu — ale też i kupiłem, co było najlepszego. Zaprowadzę cię później na próbę. Tam poznasz twoją Dulcyneę.

HENRYK.

Nie wypada, Fabrycy. Nie byłem jej przedstawionym.

FABRYCY.

Prawisz bez sensu. Wszak idziemy do aktorek! Ale sza! Zdaje mi się, że twój pedagog sunie schodkami z waszego piąterka. Zgub się Henryku! (*Wypycha go za drzwi*) Dalej panowie! flaszki w kąt, karty za okno! Dobry żołnierz nie powinien pozwolić się napaść we własnym obozie. (*sprzątają*). A teraz panowie, kapelusze w ręce, i wynieście mi się, a przyzwoicie.

Scena 2.

CIŻ I GUWERNER.

GUWERNER (*w szlafroku, okularach, czapeczce włóczkowej, z książką w ręku, schodzi z prawej*).

Quousque tandem Catilina abutēre patientia nostra? Czekam pana Henryka na górze a on—A przepraszam. Nie spodziewałem się zastać tu nikogo, prócz Henryka i przyjaciela naszego, pana Fabrycyusza — (*zdejmuje czapeczkę*).

FABRYCY.

Moi panowie—mam zaszczyt przedstawić wam jednego z luminarzów naszego kraju, niemal powiem, stulecia: filologa, jakich mało — krasomowcę,

jakich rzadko — i pedagoga, jakich niema w całej Europie — pan Mulewicz, guwerner naszego przyjaciela, młodego hrabiego. (*Guwerner i obaj aktorzy kłaniają się sobie poważnie*) Mości pedagogu! (*wskazując na Goliata*) Oto pan Piórko, preceptor i wychowawca tutejszej młodzieży. (*kłaniają się sobie*).

GOLIAT (*pokazując w stronę skrytych flaszek*).

Ten tylko u potomnych uznanie odzierży,
Kto krzewi ziarno prawdy w umysłach młodzieży.

GUWERNER.

Nader szacowna znajomość. Jak to mogło się stać, żeśmy się dotychczas jeszcze nie przeczuli? Cur? Quomodo? Quando? — Poznawszy się bliżej, zaczniemy wspólnie komentować poczciwych naszych klasyków. Co? jak?

GOLIAT.

Obowiązek, to tyran, co nas więzi wszędzie,
Wzywa bez apelacyi w najmilszej gawędzie.
(*odchodzi w ukłonach*).

GUWERNER (*spoglądając za nim*).

Miły bardzo człowiek — homo eruditus.

FABRYCY (*wskazując na Odrobinę*).

Obywatel tutejszy, pan Szmuc, prezes towarzystwa krzywienia oświaty.

ODROBINA (*zapomniawszy się*).

Niech żyje — — (*wstrzymując się dopowiada*) Cywilizacya. (*wychodzi*).

GUWERNER (*kłania się za nim*).

Bardzo mi przyjemnie; bardzo mi miło... Kochany mości Fabrycyuszu, dobrane u ciebie bywa towarzystwo — zacni ludzie — godni ludzie. To bardzo korzystne dla Henryka; bardzo korzystne.

(SŁUGA *wszedłszy szepcze do ucha Fabrycemu i wychodzi*).

FABRYCY (*zmieszany*).

Henryk zapewne będzie w ogródku —

GUWERNER.

Hę, w ogródku? A co? To są skutki mego wpływu na tę młodocianą duszę. Przepada za botaniką. Pójdę za nim... Obaczę... (*odchodzi*).

Scena 3.

FABRYCY (*sam — potem*) EMILIA.

FABRYCY.

W sam raz wyniósł się nieznośny gaduła!— Emilia tu?—Ha, zapewne gołąbek potrzebuje pieniędzy.

(*Wchodzi Emilia szczelnie zawelonowana, z wielką książką do modlitwy w ręku*).

FABRYCY.

Witaj Emilko Cóż to, książka do nabożeństwa? Zawsze pobożna!

EMILIA (*odsłania welon*).

Rzeczywiście, byłam w kościele i wstępuję, aby cię odwiedzić, kochany Fabrycy.

FABRYCY.

Albo vice-versa. Aby mnie widzieć, wyszłaś do kościoła.

EMILIA (*siadając wygodnie*).

Niepoczciwy; szydzisz z mego poświęcenia. Biedne my kobiety, jedni nas ocenić nie potrafią— drudzy nie chcą.

FABRYCY.

Ależ, moja Emilciu; czyż nie złożyłem ci dowodów mego uznania, ofiarując ci onegdaj piękny medalionik z moją fotografią? — Fotografia, bagatela... lecz emalia i turkusiki...

EMILIA.

Nieznośny! Nawet mnie nie oszczędza twoja efronterya.

FABRYCY.

Jestem wybrednym w miłości, Emilko. Jedni gustują w dobrym winie, ja nim nie gardzę — drudzy przepadają za djabełkiem lub bezikiem, ja bardzo lubię jedno i drugie — lecz mój haut goût to miłość, ale z musztardą, pieprzykiem; czasem sprzeczka — małe nieporozumienie — mąż za drzwiami — guzy w perspektywie —

EMILIA *(śmiejąc się)*.

Szalony! — Ale, ale — zkąd ten niezwykły stan twych finansów?

FABRYCY.

Nasze akcye stoją wybornie. Przybył tu pewien młody hrabia, znajomy mój ze stolicy. Otóż

mam pomysł wyborny. Młode pisklę nadto ma puchu... Podskubać je trochę nie zawadzi...

EMILIA.

Jakto?

FABRYCY.

W sposób bardzo prosty. Zapoznam go z Maryą, twoją koleżanką; zakochał się w niej jak kot. Nie oderwie się ztąd tak prędko; a słuchając rad moich puszczać będzie pieniądze jak wodę. Zwrócimy na nich oczy ludzi, a sami będziemy zamaskowani.

EMILIA.

Jesteś genialnym. Lecz apropòs tych pieniędzy — czy...

FABRYCY.

Tak ich prędko potrzebujesz?

EMILIA.

Blutigel tak mnie nagli — jestem w kłopocie.

FABRYCY.

Ach, oczy twoje — tak wymowne! Licz na mnie piękna kapłanko Melpomeny. Jak tylko Hen-

ryk znowu moją suchotniczą kieszeń wypełni, wpadnę do ciebie i zaspokoisz Blutigla.

EMILIA.

Ciężar spadł mi z piersi. Mogłam wprawdzie udać się z prośbą pożyczki do barona, pana Kaliksta lub choćby tego starego szlaguna, pana Mateusza, ale nie chciałam podać ci przyczyny do gniewu i zazdrości.

FABRYCY.

No no — jak mi dobrze pójdzie, będę ci mógł dać więcej, jak zbankrutowany pan Kalikst, podskubany baron lub skąpy niedołęga, pan Mateusz. — Ale cicho.. czy licho nadało... Słyszę kłapiące pantofle nieznośnego pedagoga. Jeśli cię tu zastanie... Parbleu! Tłucze się jak Marek po piekle.

Scena 4.

Ciż i Mulewicz.

MULEWICZ (*wchodząc*).

Młody hrabia ulotnił się. W ogródku go niema. (*wpatrzywszy się nagle w Emilię, która znowu się zawelonowała, zdejmuje czapeczkę*). Osoba generis feminini u naszego przyjaciela?

FABRYCY *(poważnie do Emilii).*

Łaskawa pani! Zachwycony jestem, iż w pobożnym obchodzie twoim i mnie, niegodnego sługę, nie pominęłaś. Szpital nasz i ochronki, dla których pani kwestujesz, przynoszą zaszczyt naszemu grodowi.

EMILIA *(na str.)*

Filut! *(głośno)* Dzięki za hojny datek. Otrze on łzy niejednemu biedakowi na łożu boleści. Według życzenia pańskiego przeznaczam połowę datku na sierotę po pedagogu.

MULEWICZ *(na str.)*

Śliczna kobieta.

EMILIA *(nadstawiając mu torbeczkę).*

Czy i pan dobrodziej nie raczysz?

FABRYCY.

Przyczyń się szanowny mentorze... To dla dobra biedaków.

MULEWICZ.

Aha — tak — tego — kwesta — kwesta — Pani dobrodziejka daruje memu kostyumowi — Tak — tego — to bardzo pięknie — tego — kwestować —

i świadczy o czułem usposobieniu — lecz w tej chwili brak mi owego n e r v u s r e r u m — Panie Fabrycy — pożycz łaskawie —

FABRYCY.

Ile mam wrzucić?

MULEWICZ.

Tak, wrzucić — ten — tego.

FABRYCY.

Trzy — cztery — pięć papierków?

MULEWICZ (*szybko*).

Co? papierków? — Jednego, jednego.

FABRYCY (*dobywając pugilaresu*).

Służę pani. (*podaje jej banknot jedną ręką a drugą chowa*).

EMILIA (*do Mulewicza kłaniając mu się z wdzięcznym uśmiechem*).

W imieniu nieszczęśliwych — dziękuję. (*oddala się*).

GUWERNER (*w dygach, za nią*).

O! — O pani! — O pani Dobrodziejko — ten — tego — bardzo mi przyjemnie....

EMILIA *(do Fabrycego przy drzwiach)*.

Czekam cię. Pamiętaj o Blutiglu. *(wychodzi)*.

Scena 5.

FABRYCY — MULEWICZ.

MULEWICZ.

Przystojna kwestareczka — klasyczne, greckie rysy. — Kto to, panie?

FABRYCY.

Żona jednego z najznakomitszych naszych obywateli.

MULEWICZ.

Bardzo dystyngwowana — a jak się ona nazywa?

FABRYCY.

(na str.) Nudziarz — *(głośno)* Nazywa się.... Apropos — Henryka pan odszukałeś?

MULEWICZ.

Nie. W ogródku go nie było. Zapewne jest już u siebie; a jak się nazywa ta dama?

FABRYCY.

Kwestarka niby? — Pani Kręcka — pani Kręcka...

MULEWICZ.

A co — nie mówiłem? Nazwisko tchnie Klasycyzmem. — Kręcka... To *ę* nie mogło powstać tylko z *e*... Kręcki powstało z Krecki — zaś rzecz wiadoma, że miękkie *g* twardnieje często w *k*... Ztąd Krecki pochodzi od grecki — to jasne... Albo też Krecki znaczy tyle co kretski, tj. z wyspy Krety pochodzący. Ani kwestyi, ta familia pochodzi od mieszkańców klasycznej Hellady. A z domu jak jej.

FABRYCY.

(na str.) Bodajś się udławił — (*głośno*) pono Niedopytalska.

MULEWICZ *(podejrzliwie)*.

O! o! Żarty!...

FABRYCY.

Na seryo...

MULEWICZ.

O — o! — A to czego dowodzi? Jasne jak na dłoni. Stare kroniki nie mogły się niczego do-

pytać o pochodzeniu tej familii — ztąd nazwa Niedopytalskich. Ani kwestyi! To kobieta klasyczna po mieczu i po kądzieli.

FABRYCY *(spoglądając na zegarek).*

Więc Henryk zapewne u siebie?

MULEWICZ.

Potrzebujesz go pan?

FABRYCY.

Mam go zaprowadzić do naszego miejskiego archiwum.

MULEWICZ.

Znam — znam. Cenne materyały — Pokaż mu pan mianowicie Kadłubka. Zaraz go panu przyszlę. *(idzie i wraca)* Panie Dobrodzieju... Widziałem jakieś afisze po rogach... Pono są tu aktorki...

FABRYCY.

Prawdopodobnie.

MULEWICZ.

Uważasz pan: ja jako Mentor, muszę czuwać nad młodym mojem Telemakiem. Nie prowadź go też pan gdzie blisko teatru. Lepiej obejść — lepiej obejść.

FABRYCY.

Bez kwestyi.

MULEWICZ.

Bo to — ja lubię także teatr — i — i krótkie spodniczki — ale co do Henryka...

FABRYCY.

Wszak w mojem towarzystwie...

MULEWICZ.

Nie wątpię — nie wątpię... Przyszlę go tu natychmiast. Idźcie do archiwum — idźcie. *(wychodzi).*

Scena 6.

FABRYCY *(sam — potem)* HENRYK.

FABRYCY.

Dam ja ci Greków i Rzymian, stary nudziarzu! Myślisz, że każdy równy tobie pedogrzysta? Przytnę ja ci twoją togę klasyczną na kurtę! — Gdyby mi się tylko udało zawiązać stosunek między nią a Henrykiem — Hm — wielkie rzeczy!... Aktorka!...

(Henryk wchodzi).

Henryku — a l e a j a c t a e s t, jak powiada szanowny twój mentor.

HENRYK.

Fabrycy — ja drżę.

FABRYCY.

Dzieciuchu! —

HENRYK.

Nie uwierzysz, jaki wpływ wywarła na mnie ta kobieta.

FABRYCY.

Tem lepiej. Nie prowadziłbym cię na próbę.

HENRYK.

Fabrycy, ja ją kocham.

FABRYCY.

Miłość, to bardzo szlachetne uczucie. (*dobywa z pod stołu butelki*) Napij się Henryku.

HENRYK.

Nie — nie — głowa mi pała...

FABRYCY.

Tem lepiej. Napij się. Jakto powiada twój Seneka? „Odwaga zdobi młodzieńca!“

HENRYK (*napiwszy się*).

Tak. Chcę się pozbyć tego dziecinnego wzruszenia...

FABRYCY.

Krawat trochę rozwiąż — tak. (*poprawia mu krawat i włosy*). Włosy nie tak gładko. Kobiety tego nie lubią. (*patrzy na zegarek*) Jedenasta. Próba już się zacząć musiała. Apropós — Możliwe będą jakie poboczne wydatki. Może trzeba będzie szanownym histryonom zafundować śniadanko.

HENRYK (*podaje mu pugilares*).

Oto masz. — Weź z tego, ile będzie potrzeba... Fabrycy, serce bije mi tak gwałtownie...

FABRYCY.

Dzieciństwo... Ja będę przy tobie. (*wychodzą*)

ZMIANA.

(*Sala prób.* — ODROBINKA *czyści sobie buty w kącie.* — FLORA (*przejrzała, mimo to w pretensyach o udanonaiwnych ruchach — spodniczka krótka, głowa w loczkach, nad czołem kilka papilotów i róża — chodzi po scenie czytając rolę*) — PULCHERYA (*siedząc na stole po prawej od widzów z rolą w ręku, smacznie zajada owoce*). — AMANCYA (*robi pończoszkę siedząc po lewej.* — SUFLER (*spi na barłogu w głębi*).

Scena 7.

FLORA *(czytając rolę)*.

„Błogosławię niebiosa za słodkie wyroki;
„Będziesz moim na wieki!

ODROBINA (*czyszcząc buty*).

„Stój hardy intrygancie — (*próbując innego głosu*) „Stój hardy intrygancie!“ — Tak, teraz dobrze! — „Stój hardy intrygancie, zemsta cię nic minie!“

„Poczujesz siłę mojego dowcipu!“ Dobrze.

FLORA (*j. w.*)

„Błogosławię niebiosa za słodkie wyroki;
„Będziesz moim na wieki!

PULCHERYA (*mrucząc*).

„Ha przebóg—serce moje straszna trwoga wzdyma.“

FLORA (*j. w.*)

„Błogosławię niebiosa za słodkie wyroki;
„Będziesz moim na wieki!

AMANCYA (*drwiąco*).

Cóż ty ciągle powtarzasz jedno i to samo?

Zdaje się, że to miejsce bardzo ci do smaku przypadło...

PULCHERYA.

Żałuję mocno amanta Flory w tej sztuce; musi biedak ciągnąć się za nią „na wieki!“ Złośliwy autor!

AMANCYA.

Dlatego to ona tak czule powtarza to „na wieki!“ (*śmieją się*).

FLORA (*złośliwie*).

Zazdrościcie mi roli — i koniec!

PULCHERYA.

Dostajesz twoje naiwne role i tak tylko przez protekcyę.

AMANCYA.

A dzieje to się od dwudziestu latek.

PULCHERYA.

Naiwna! Myśli że jest jeszcze dorastającą panienką!

FLORA.

Któraż z was widziała moją metrykę?

PULCHERYA.

Masz ją na czole wypisaną. — Dlatego, że jakiś waryat, dyurnista z becyrku włóczy się za tobą, sądzisz, żeś same wdzięczne role grywać powinna?

FLORA (*płaczliwie*).

Ach mamo, mamo, dlaczegoś mnie opuściła?

AMANCYA (*parodyując*).

Biedne, niewinne dzieciątko!...

PULCHERYA.

A pamiętasz, jak autor tej nowej sztuki zżymał się, że dyrektor puścił na scenę takiego koczkodana? (*śmieją się*)

FLORA (*z furyą*)

Koczkodana?! — (*rzuca na Amancję rolą*) — Koczkodana?! (*rzuca Pulcheryi różę z głowy pod nogi*)

PULCHERYA (*z furyą*).

Co?!

AMANCYA (*t. s*)

Co?!

FLORA.

Zbliż się tu która — ślepie wam wydrapię!

ODROBINA (*wpadając między nich z butem w ręce*).

Stójcie, córy Melpomeny! Waśnicie się między sobą, jak przekupki krakowskie! Czy kurza ślepota opanowała oczy duszyczek waszych, że nie widzicie własnej śmieszności? Czy wam kto nastąpił na nagniotki waszych języczków? Zwolna, boginie! Zwolna Junono, Wenero i ty Kupidynku w krynolinie! Pochowajcie wasze pazurki i nie rzucajcie się na oślep na miecze waszych krasomowczych organów, gdyż przez myśl nawet wam nie przejdzie, jakie fatum zawisło nad dzisiejszem przedstawieniem. Jedno słowo moje przywiedzie was do zmysłów!

AMANCYA.

Co takiego?

PULCHERYA.

Co takiego?

RAZEM.

Mów!

ODROBINA.

Dziura!

WSZYSTKIE.

Sfiksował!

ODROBINA.

Bynajmniej! — Patrzcie! Oto but, w którym

dzisiaj grać mam hiszpańskiego hidalga... Czy widzicie przepaść, co się z tej podeszwy wynurza? *(tragicznie)* Daremne wysilenie zatkać ją piętą nóg własnych!

PULCHERYA.

Cóż uczynisz? W czem grać będziesz?

ODROBINA.

Be or not to be that is the question! — O bucie! bucie! który od lat kilku w objęciach swoich pieściłeś nogę wielkiego komika, skrzypnąłeś — drgnąłeś i — oto łono twoje rozszarpane zębem nieubłaganego czasu!

FLORA.

Ratuj przedstawienie! Ja gram w niem täk piękną rolę!

ODROBINA.

Niewdzięczność hasłem tego wieku! *(rzuca butem o ziemię)* Giń sromotny przeniewierco! U stóp moich błagaj słowa przebaczenia! Mam cię oddać do rąk szydłowego artysty? — Nie! Nadaremnie spoglądasz ku mnie miłosiernie gasnącem okiem twojej podeszwy!

WSZYSTKIE.

Dlaczego?

ODROBINA (*tajemniczo*).

Bo nie mam złamanego szeląga (*śmieją się*) Co? Śmiech miasto współczucia? Kamienne serca! Gardzę wami! (*podejmuje but*) Pójdź do mego łona synu marnotrawny — jak niepyszny sam własną dłonią okupię spokój twej duszy! — Podajcie mi szydełko! Niech ręce moje pracują dla dobra nóg moich! (*siada w kącie i naprawia but*)

Scena 8.

Ciż i Goliat.

GOLIAT (*wpadając z fantazyą*).

Witajcie wawrzynowe wieńca mego listki!
Co widzę? Wielkie nieba! W zgodzie dziś artystki?

ODROBINA (*mrucząc*).

Dopiero brały się na pazurki.

FLORA (*wdzięcząc się*).

Panie Goliat!

GOLIAT.

Jestem ci posłuszny słodka syreno!

FLORA (*z cicha do niego*).

Schowałam dla ciebie kawałek huzarskiej pieczeni.

GOLIAT (*chowając ją do kieszeni*).

Dzięki tobie stokrotne siostro w Melpomenie:
Za twoje dobre serce i za twą pieczenię!

ODROBINA (*na str*)

Zdrajca!

PULCHERYA.

Goliatku!

GOLIAT (*spiesząc ku niej*).

Słucham cię wdzięczny słowiczku!

PULCHERYA (*z cicha*).

Flora powiedziała ci jakąś plotkę na mnie?

GOLIAT.

Przysięgam, jesteś w błędzie!

PULCHERYA.

Może ci się przyda pół funta serka szwajcarskiego?

GOLIAT (*chowając*).

Niewiasto! Cnoty wzorze!

ODROBINA (*na str.*)

Morderca!

AMANCYA.

Panie Goliat!

GOLIAT (*biegnąc do niej*).

Podporo sceny, słucham!

AMANCYA.

Co one do ciebie mówiły?

GOLIAT.

Drobnostka.

AMANCYA.

Nic na mnie?

GOLIAT.

Przebóg! Zkąd to podejrzenie?

AMANCYA.

Przyjm odemnie tę buteleczkę rumu... i bądź mi wiernym.

GOLIAT (*chowając*).

Do grobowej deski!

ODROBINA (*wyskakując*).

A tego już za wiele!

WSZYSTKIE.

Co takiego?

ODROBINA.

Co takiego? Sądzicie, że ślepy stary Odrobina? O kobiety! kobiety! pełne łez i jadu, fałszywe, stronnicze istoty! Oto bohater wasz stoi tu przed wami objuczony jak dromedar — podczas gdy mnie, komika starego, nie stać na naprawę sromotnego buta?

GOLIAT.

Mylisz się kochany koleżko — to są prywatne sekreta.

ODROBINA.

O tak sekreta! Zmysł powonienia zdradza ich tajemniczość! I to wszystko dlatego, że on jest Goliatem, a nie Odrobiną!

WSZYSTKIE (*rzucając się ku Goliatowi*).

Zdrajca!

GOLIAT.

Ależ proszę was, moje panie!

WSZYSTKIE.

Wiarołomny!

ODROBINA.

Samolub!

GOLIAT (*pozując się*).

Ha — cóż to za atentat? Od honoru wara!
Co? Ja miałbym pieczenią wzgardzić dla szwajcara?
Miałbym wzgardzić szwajcarem dla flaszeczki rumu?
Pozostawmy artyści niesnaski dla tłumu:
Nam jedności potrzeba, jedności na scenie!

ODROBINA.

Szczególnie, kiedy idzie o rum i pieczenie!

GOLIAT.

Cicho — dyrektor! — (*Cisza*)

Scena 9.

CIŻ I BOBEK.

BOBEK.

Subordynacya synku panie! Mistrzowie, próba! (*Idzie ku stoliczkowi i dzwoni w szklankę*) Sufler!

SUFLER (*zrywając się z barłogu ze słomą we włosach, chrapliwym głosem*).

Jestem!

BOBEK.

Próba! Subordynacya! (*Sufler siada ze skryptem po lewej przy stoliku*) Czy wszyscy są? — Hola — już go niema! Czarny charakter! Gdzie jest czarny charakter?

GŁOS (*za drzwiami*).

Zaraz! zaraz!

BOBEK.

Dlaczego pan się zawsze spaźniasz?

CZARNY CHARAKTER (*wchodząc*).

A dlaczego mi pan zawsze zamykasz buty?

BOBEK.

Bo mi pan ciagle uciekasz łamiąc kontrakt. Subordynacya mistrzu! W domu możesz, synku panie, używać kaloszy, — na scenę dostaniesz buty.

CZARNY CHARAKTER (*mrucząc*).

Barbarzyńca!

BOBEK.

Subordynacya! (*dzwoni w szklankę*) Próba!

FLORA.

Panny Emilii niema jeszcze.

BOBEK.

Tak? — Dobrze! — Raz muszę to zakończyć. (*otwiera drzwi i woła w głąb*) Piwko! Pobiegnij synku do panny Emilii i powiedz, aby się nie fatygowała, potem skocz do panny Maryi i proś ją na próbę! (*wraca*) Tak, poczciwa Marya nie odmówi mi tego. — Tymczasem bez niej spróbujemy! (*otwiera książkę*) „Sztylet hiszpana.“ Dramat. — Zaczynamy!

PULCHERYA.

Nie czytaliśmy jeszcze egzemplarza.

BOBEK.

Nic nie szkodzi, synku panie, role mieliście w ręku. Subordynacya! Zaczynamy! Sufler nie drzymać! Kto wchodzi?

SUFLER (*monotonnie*).

Duenna, potem Czarny Charakter!

BOBEK.

Duenna!

PULCHERYA (*występuje*).

Jestem! proszę uczciwie podpowiadać!

BOBEK.

Sufler, nie drzymać!

PULCHERYA (*deklamuje*).

„Ha przebóg! serce moje straszna trwoga wzdyma;
„Tristan kocha Izoldę — a Don Diega niéma.
„Gdy Don Diego nadjedzie, zabije niestety
„Tristana i Izoldę krwawymi sztylety! —

(*pauza — sufler chrapie*).

Proszę nie chrapać, ale suflować!

BOBEK.

Wytrącę mistrzowi połowę gaży, synku panie!

SUFLER (*budząc się*).

„Ha przebóg, serce moje —

BOBEK (*z furyą*).

Już było!

SUFLER.

Jakże można pędzić i nie czekać na suflera? *podpowiada*) „Co czynić“ —

PULCHERYA (*deklamuje*).

„Co czynić?!—Wielkie nieba!—Chwilo niespodziana!
„Tristan kocha Izoldę — Izolda Tristana!

SUFLER (*podpowiada*).

„Don Diego“ —

PULCHERYA *(j. w.)*

„Don Diego nienawidzi tak jej, jak i jego:
„Tristan gardzi Don Diegiem. Tristanem Don Diego!

CZARNY CHARAKTER *(występuje naprzód gwałtownie.)*

„Stój! Ohydna poczwaro!

PULCHERYA.

Co? — Co? — Co? Poczwaro?! Poczwaro?! — Ah — pięknie pan się wyrażasz — czy to pan do mnie stosujesz? Do mnie, mój panie? Jesteś pan nieokrzesanym gburem mój panie — nieokrzesanym, rozumiesz pan? Nieokrzesanym!

BOBEK.

Subordynacya, mistrzu — a ty sobie co myślisz intrygancie?

CZARNY CHARAKTER.

Ależ to stoi w mojej roli. Teraz na mnie kwestya.

SUFLER *(budząc się)*.

Czarny charakter!

CZARNY CHARAKTER.

A co? Słyszycie? Moja kwestya! — Sufler, co następuje?

SUFLER.

„Stój ohydna poczwaro!“

CZARNY CHARAKTER.

A co? Czego chcecie odemnie?

PULCHERYA (*ociera łzy*).

To co innego. sądziłam, że pan mnie insultujesz — W takim razie, wiedziałabym z czyjej namowy (*mierzy oczyma Florę*)

FLORA.

Czy pani do mnie pijesz?

BOBEK.

Subordynacya! — Żadnych sporów! Próba! Proszę dalej!

CZARNY CHARAKTER (*j. w.*)

„Stój ohydna poczwaro!“

PULCHERYA.

Dyrektorze, nie mogę przystać, aby tak do mnie przemawiano, choćby tylko na scenie. Czy to ja wyglądam na poczwarę? Niech Czarny Charakter zmieni te słowa. (*Wdzięcząc się do Bobką*) Mój Dyrektorku.

BOBEK.

Mów więc mistrzu: „Stój nieszczęsna ofiaro“ synku panie kochany!

CZARNY CHARAKTER.

Bezsens. Duenna nie jest żadną ofiarą — ja trzymam się tekstu i autora — „Stój ohydna poczwaro!“

PULCHERYA (*tupiąc*).

„Stój nieszczęsna ofiaro!“

CZARNY CHARAKTER.

„Stój ohydna poczwaro!“

PULCHERYA (*płacząc*).

Dyrektorze, jak on tych wyrazów nie zmieni, to ja grać nie będę.

CZARNY CHARAKTER.

Dyrektorze — masz moje słowo — jeśli ta pani żąda sfałszowania tekstu i popsucia mojej roli, to ja się kładę w łóżko!

BOBEK (*łamiąc ręce*).

Mistrzu! Panno Pulcheryo! Pulciuniu! Synku panie! Subordynacya!

ODROBINA (*z flegmą*).

Dam wam na to radę.

WSZYSCY.

Mów! mów!

GOLIAT.

Przekreślić scenę!

ODROBINA.

Po co? Na co? Pani na te słowa odwrócisz się do Czarnego Charakteru tyłem — a Czarny Charakter wygłaszać je będzie zwrócony do publiczności. — Zgoda?

BOBEK.

Brawo mistrzu!

PULCHERYA i CZARNY CHARAKTER.

Zresztą niech będzie!

BOBEK.

Dalej! Zaczynajmy!

CZARNY CHARAKTER (*występując ku publiczności*).

„Stój ohydna poczwaro! (*Pulcherya odwraca się od niego*) Czemu patrzysz we mnie? (*przerywa*) Kiedy ona nie patrzy we mnie?

BOBEK.

Nic nie szkodzi; dalej! dalej!

CZARNY CHARAKTER (*j. w.*)

„Stój ohydna poczwaro! Czemu patrzysz we mnie?
„Jakbyś chciała litości wyżebrać odemnie?
„Zginiesz — albo mów prawdę!

SUFLER.

„Biada!"

PULCHERYA (*wciąż odwrócona*).

„Biada! — Łaski!"

CZARNY CHARAKTER (*wciąż do publiczności*).

„Mów, gdzie jest twoja pani? Precz kłamstwa i maski!"

PULCHERYA (*odwrócona*).

„Litości!"

AMANCYA (*nadbiega i rzuca się na kolana przed nim*)

„Miłosierdzia!"

CZARNY CHARAKTER.

„Ha niewierna żono!"

FLORA (*pada na kolana z drugiej strony*).

„Uderz we mnie!"

CZARNY CHARAKTER.

„Niewierne przebiję dziś łono!“

GOLIAT (*wypada z cybuchem*).

„Stój! Oto srogi tygrys sam się w sidła łapie: „Giń tyranie!“ (*przebija go*).

CZARNY CHARAKTER (*słaniając się*).

„Zginąłem!“

BOBEK (*trzęsąc suflerem*).

A ten cymbał chrapie!

Scena 10.

Ciż i Fabrycy z Henrykiem.

FABRYCY (*klaszcząc*).

Brawo! Brawo! Fora! Doskonale!

BOBEK (*na str.*)

Znowu ten nicpoń — tylko próby mi zawsze przerywa. (*głośno — podając mu obie ręce*) A! Szanownego pana Fabrycego! Sługa, synku panie! Służeczka!

FABRYCY.

Panie dyrektorze — przedstawiam panu mego przyjaciela, hrabiego Henryka.

PULCHERYA — AMANCYA — FLORA *(na str.)*

Hrabia!

FABRYCY.

Poczciwy, jak Veuve Cliquot — mądry jak Salamon — piękny jak Apollo — bogaty jak Krezus!

BOBEK.

Bardzo mi miło — bardzo mi miło... Panie hrabio, oto mój mistrz bohater, synku panie pierwszorzędny.

HENRYK.

Stary znajomy.

BOBEK.

Oto mój czarny charakter. Co za piersi! Co za organ! — To mój komik, filar mój, synku panie.

HENRYK.

Znamy się również.

BOBEK.

A to moje damy: panna Pulcherya, *(dyga)* — panna Amancya *(j. w.)* i panna Flora, znakomita w rolach młodociano-naiwnych, bo grywa je już od lat —

FLORA *(przerywając)*

Pan hrabia dawno już tutaj bawi?

PULCHERYA *(przerywając jej)*.

Panu Fabrycemu zawdzięczamy —

AMANCYA *(przerywając)*.

Zawdzięczamy tak miłą znajomość.

HENRYK *(kłaniając się — do Fabrycego z cicha)*.

Oryginały.

FABRYCY.

Uważam, że nie wszystkie panie zgromadzone na próbie.

BOBEK.

Panna Emilia z przyczyn od dyrekcyi niezależnych nie może dziś wystąpić; zastąpi ją zatem, synku panie, panna Marya, ulubienica całej publiczności.

FABRYCY.

Więc i ją ujrzymy niebawem na próbie?

BOBEK.

Tylko co jej nie widać.

HENRYK (*nieśmiało do Bobka*).

Z mojej przyczyny przeszkadzamy panu Dobrodziejowi. Ja to prosiłem mego przyjaciela, aby mnie przedstawił panu dyrektorowi i szanownym członkom Jego towarzystwa. Poznałem bowiem u Fabrycego dotychczas dopiero pańskiego komika i bohatera.

BOBEK (*kłaniając się — na str.*)

Grzeczny młodzieniec.

PULCHERYA (*do Amancyi*).

Wcale do rzeczy.

AMANCYA (*z cicha*).

Pięknie ułożony.

FLORA (*t. s.*)

Ach! Jakiż on skromniutki! Miły bardzo chłopiec...

FABRYCY.

Porzućmy tę sentymentalność... Pozwolisz dyrektorze, że przyjaciel mój Henryk ośmieli się uświęcić poznanie się wasze skromnem śniadankiem.

ODROBINA (*do Goliata trącając go*).

Ty! Dziś już po raz drugi.

GOLIAT.

Spiewa jak słowik.

BOBEK.

Prawdę powiedziawszy — synku panie — wprawdzie subordynacya — ale jeśli mistrz łaskawy — (*na str.*) Zdemoralizuje mi towarzystwo.

FABRYCY.

Nie wątpiłem o zezwoleniu szanownego towarzystwa, dlatego zaopatrzyliśmy się już z góry w mały przyborek. Hola! (*klaszcze — wchodzi sługa Fabrycego z koszem*) Dawaj usłużny duchu! — (*stawiają butelki na stoliku*) Dalej! Szanowny dyrektorze! (*odkorkowuje szampana*) Patrzcie panowie i panie, niech tak wesoło uchodzi wam życie, jak z tej szyjki nieoszacowana Cliquot! Do kieliszków! (*mężczyźni piją*) Wnoszę zdrowie artystek.

FLORA.

Ach — na tak miłe wezwanie...

AMANCYA.

Trudno nie podziękować! (*piją*)

HENRYK.

Zdrowie szanownego dyrektora!

BOBEK (*całuje się z Henrykiem w oba policzki*).

Panie hrabio! — Mecenasie sztuk pięknych... (*biegnie do Fabrycego i całuje się z nim*) Nieoszacowany twój przyjaciel, pan hrabia! — Panowie i panie! Zdrowie młodego protektora naszego! — (*na str.*) Zdemoralizują mi towarzystwo — (*głośno*) Goliatku, palnij no wierszem.

GOLIAT (*odkrząknąwszy*).

Artysta — to jak powój, co ku słońcu pnie się
I wiotki dąb oplata, bo podpory szuka:
Dębem owym publiczność o nieskąpej kiesie,
A słońcem, co go grzeje, to zapał i sztuka.

Cóż dopiero gdy wzniosły mecenas przybywa,
I roślince młodziutkiej opieki przyczynia;
(*pokazując butelkę*).
Jeśli kropi ją często — i dzielnie podléwa,
Wzrasta bujno artysta, jak w inspekcie dynia!

WSZYSCY.

Brawo! brawo!

FABRYCY.

Niech żyje sztuka i szampan! (*piją — Bobek ciska Henryka — Goliat i Odrobina Fabrycego*).

Scena 11.

Ciż i Marya.

(Marya wszedłszy staje zmięszana -- Bobek biegnie ku niej; Goliat i Odrobina porządkują ubiór i umykają w głąb.)

MARYA.

Dyrektor życzyłeś sobie...

BOBEK.

O moja prima donna! — Pójdź, pójdź, moje dziecię! — *(do niej z cicha)* Daruj Maryo; to nie moja wina. To Fabrycy demoralizuje mi towarzystwo.

ODROBINA *(chowając się za drugich — na str.)*

Dałem jej słowo, że pić nie będę.

MARYA.

Dyrektorze pozwól mi się oddalić...

FABRYCY.

Jakto? Pani gardzisz naszem towarzystwem?

MARYA.

Sądziłam, że przybywam na próbę, gdzie obecność moja była nieodzowną.

BOBEK.

Słowo honoru, synku panie, to nie ja, to pan Fabrycy...

MARYA *(z wyrzutem)*.

I pan Odrobina tutaj...

ODROBINA *(na str.)*

Masz tobie... *(głośno — całując ją w rękę nieśmiało)* Nie gniewaj się piękna Maryo — Wstrzymać się nie mogłem — ale ja się poprawię — *(wymyka się i odchodzi)*.

MARYA *(na str.)*

Taki talent — i tak marnie niszczeje...

PULCHERYA *(uszczypliwie)*.

Zdaje mi się, że tu zresztą nic tak zdrożnego się nie dzieje? Czy pani nie widzisz, że i my tu obecne?

MARYA.

Widzę — i dziwię się temu moje panie. *(przystępując do nich — półgłosem)* Gniewa was, gdy potem nikt was nie szanuje — lub gdy mówią o was, co się komu podoba...

FLORA.

Ekscentryczka!

GOLIAT (*do Fabrycego*).

Czekam pana w kawiarni. (*wychodzi*)

FABRYCY (*z efronteryą*).

Jakto? Pani byłabyś tak srogą psuć nam szczęśliwe usposobienie i nie wziąść udziału w naszej wesołości?

HENRYK (*do niego, wstrzymując go*).

Fabrycy...

FABRYCY (*nie zważając nań*).

Piękna Maryo! Nie przypadek nas tu sprowadza; przychodzimy z umysłu, ja i mój przyjaciel. Domyślasz się pani zapewne, iż przyczyna naszego przybycia leży w twej osobie...

MARYA.

Nie pamiętam, abym kiedy podała panu przyczynę przemawiania do mnie w ten sposób...

HENRYK (*do Fabrycego*).

Fabrycy — obrażasz ją...

FABRYCY (*do niego*).

Aktorkę? — (*głośno*) O piękna pani! Miałożby ci być przykrem wyznanie, że spojrzenia twoje przykuwają motylkowaty ród nasz do twego rydwanu? — Oto patrz pani! Mój przyjaciel, młody hrabia pała chęcią poznania Ciebie. Nie mogłem odmówić mu tego zachwytu, jaki sprawia znajomość pani...

HENRYK (*występując naprzód*).

Pani — czuję fałszywość mego położenia... Nie chciej jednak uważać słów pana Fabrycego tak, jakoby odemnie pochodziły. Umiem czcić godność kobiety i nic mi nie pozostaje, jak tylko przeprosić panią i odejść.

MARYA.

Dziękuję panu... (*Henryk z szacunkiem skłoniwszy się odchodzi*).

FABRYCY (*na str.*)

Głupiec.

MARYA (*do Bobka*).

Dyrektorze — racz mi podać ramię.

BOBEK (*przyskakując i podając jej rękę*).

Słowo honoru — synku panie — to nie ja... Demoralizują mi towarzystwo. (*wychodzą*)

PULCHERYA.

Dzieciństwo! Można było tak pięknie się zabawić. Nie prawdaż panie Fabrycy?

FABRYCY (*na str.*)

Głupiec! Bawi się w jakąś sentymentalność! (*wychodzi*).

FLORA.

Ani ci nie odpowiedział nawet...

PULCHERYA.

Zwyczajnie gbur... Młody hrabia to co innego — pójdźmy — próby już nie będzie. (*wychodzą*)

SUFLER (*budząc się*).

„Stój ohydna poczwaro!" — Hę! — Wynieśli się? — Co to? — Wino zostawili na stole? — Szaleńcy! (*zabiera butelki i siada na barłogu*)

(ZASŁONA SPADA).

AKT III.

(Pokoik Maryi. — Marya siedzi w szeslongu z głową w tył rzuconą — oczy zakryte chustką trzymaną w dłoni. Po prawej jej ręce mały stoliczek z przyborami niewieścimi. — Po prawej stronie od widzów stolik z papierami. — Meble skromne ale czyste. — Po chwili wchodzi Baron).

Scena 1.

MARYA (*chwilę sama — potem*) BARON.

BARON (*wchodząc ostrożnie*).

Sama... (*rzuca plaid przy drzwiach na krześle; i przystępuje ku niej*) Pani...

MARYA (*budząc się z zamyślenia*).

A — pan baron... (*ociera nieznacznie oczy*).

BARON.

On sam. Darujesz piękna pani, że niespodzia-

nie nachodzę Cię w twojem sanctissimum. Nie przeszkadzam?

MARYA.

Usiądź pan, panie Baronie!

BARON (*siadając*).

Kryjesz się przed oczyma Twoich wielbicieli, piękna pani. — Maż to być karą dla nich, czy —

MARYA

Kokieteryą aktorki, nieprawdaż? To chciałeś pan powiedzieć? Bo i cóż innego mógłbyś sobie pomyśleć w tej chwili?

BARON.

Ja co innego miałem na myśli... Pani płakałaś.

MARYA (*z goryczą*).

Aktorka i łzy!... Zkądże to zestawienie? Wszak my, my nie umiemy płakać, chyba tylko na scenie. W ten czas rozczulacie się nad temi łzami i wołacie w uniesieniu: Co za złudzenie potężne! Jak łudząco ona płakać umie!

BARON.

Ciągle to samo... Od pół roku krok w krok

nieodstępując Cię, Maryo, nie słyszałem dotychczas nic innego z ust Twoich... i wątpię, czy był kto kiedy odemnie szczęśliwszym. — O jakże piękne, jak piękne oczy te łzawe!

MARYA.

Porównaj je pan z czystym dyjamentem Kalifornii, w ustach moich odkryj korale oceanu, zęby moje nazwij uryańskiemi perłami, a powiesz mi wprawdzie stereotypową, ale zawsze jeszcze niepoślednią grzeczność.

BARON.

Werteryzm — gorycz — ironia.

MARYA.

Nie, to proza życia, baronie. Częstokroć koralowe te usta zawdzięczają swą świeżość laseczce paryskiego karminu, oczy swój blask umiejętnemu rzutowi spojrzenia — a zęby — ah — zęby częstokroć są dziełem zręcznego dentysty.

BARON.

Nie oszukasz mnie Maryo kłamanemi słowy. Pani cierpisz. Przyczyna cierpień nie jest mi znaną, ale że tak jest w istocie, świadczą te łzawe oczy... O gdybym znał przyczynę tych łez — —

(siada obok niej na szeslongu) gdybym mógł ulżyć ci przykrości — — *(bierze ją za rękę)* Maryo — rozkaż pani tylko...

MARYA.

„Twoja wola jest dla mnie rozkazem“ powiesz baronie z grzecznym Francuzem; nieprawdaż? Jeśli się nie mylę, słyszałam to samo wczoraj z ust któregoś z naszych panów, a może i z ust kilku nie ręczę..

BARON.

Czy i tamtym nie dałaś odpowiedzi?

MARYA.

O i owszem — odpowiedziałam prośbą...

BARON.

Ah, czy i ja podobną usłyszę?

MARYA.

Tę samą...

BARON.

A ta jest?

MARYA.

Ta jest: Usiądź pan trochę dalej, baronie...

BARON (*zrywając się*).

Niewzruszona!

MARYA.

Głaz — nieprawdaż?! Głaz — ponieważ na pierwsze twe spojrzenie, nie rzuciłam się panu w objęcia?! — (*wstaje i przechodzi się szybkim krokiem po pokoju*).

BARON (*na str.*)

Tego nie pojmuję. (*gł.*) Więc pani odrzucasz wszelkie z mojej strony...

MARYA.

Nie szukaj wyrazu baronie — znasz mnie — jestem kapryśną i nigdy, nic, od nikogo nie przyjmuję.

BARON.

Przynajmniej pozwól pani, bym przysłał jej konie moje do poobiedniej przejażdżki...

MARYA.

Koniecznie chcesz mnie pan ludziom pokazać w swoim powozie? — Czy tak wiele panu na tem zależy?

BARON (*urażony*).

Dlaczegoż?... Wszak i tak...

MARYA.

Nazywają mnie kochanką twoją baronie? — To chciałeś powiedzieć. O cóż iść mi może? Kolej przyszła na ciebie baronie. Przedwczoraj miałam być kochanką pana Kaliksta. Wczoraj pan Erazm pysznił się pono mymi względami. Dziś baron możesz mnie obwozić swoim fajetonem. Wiesz co, baronie — pocieszna myśl przyszła mi do głowy... Jeśli tak bardzo nęci cię przejażdżka w towarzystwie aktorek — wsadź do twego tilbury Amancyę, Pulcheryę albo naiwną Floriettę (może się pomieszczą)—i obwoź je po wszystkich ulicach. Szczęśliwy baronie! Iluż to znajomych twych ścigać cię będzie zazdrosnem spojrzeniem!....

BARON (*na str.*)

Szalona kobieta... (*gł.*) Maryo — czy nie obrażę Cię, pani, jeśli Ci skromnej udzielę uwagi?

MARYA.

Słucham cię baronie.

BARON.

Czy sądzisz, że odtrącając od siebie twoich wielbicieli, pracujesz około utrzymania dobrej sławy?

MARYA.

Co słyszę? Aktorka i dobra sława — tracisz zmysły baronie!

BARON.

Wiem że o to Ci idzie, aby Cię szanowano tak, jak Cię uwielbiają, pani. Czy sądzisz, że, jeśli tu i owdzie odezwą się słowa uznania, płyną one z serca? Wierz mi, Maryo — usta mówią, serce powątpiewa — głośno pozwalają sobie puścić jedno i drugie słówko — w skrytości w kółkach swoich chełpią się otwarcie ze względów pięknej aktorki.

MARYA.

Więc potępiacie z góry — sławę wiążecie do nazwiska. *(z goryczą)* Ani kwestyi, panowie; uczciwa aktorka musi być feniksem — niewierni nawet wtenczas nazwą ją sfinksem tylko...

BARON.

Wyjęłaś z ust moich te wyrazy. Tak jest, piękna Maryo — nazywają cię sfinksem nieodgadnionym... Czy nigdy nie usłyszę z ust twoich pani niczego więcej, prócz ironii?

MARYA.

Zapytanie za zapytanie. Czy pana nigdy nie

znudzi słyszeć z ust moich ciągle jedno i to samo?

BARON.

Nie, pani. — Chcesz wiedzieć, dlaczego? — Bo ufam memu szczęściu; bo jestem przekonany, że do tej chwili, aż pokochasz kogo, ciągle jeszcze nie powinienem tracić nadziei. — Mam swoje plany...

MARYA.

Aby mnie zmusić zostać twoją kochanką?...

BARON.

Tak, pani. Nie taję się z nimi. Jedne kobiety ulegają czarowi złota — ty, pani, nie należysz do nich. Wiedzą to wszyscy — ja lepiej od drugich. Inne panie podbija pochlebstwo i gładkie aksamitne słówka; ty umiesz odróżnić prawdę od udawania, zimną jesteś na wszelkie oznaki zajęcia się tobą... Ale jest jeszcze inny sposób — mój sposób, który powoli — ale prawie pewnie prowadzi do celu.

MARYA (*pogardliwie*).

Podstęp...

BARON.

Broń Boże. — Tym sposobem są: nudy. Tak; poprostu: nudy! — Oddalam od ciebie wszystkich

wielbicieli, izoluję Cię od wszelkiej rozrywki w ich gronie, i ciągle mnie tylko, mnie jednego widzisz przed twojemi oczyma. Nie lubię się dzielić. — Ja, albo nikt.

MARYA.

Zkądże masz pan prawo?

BARON.

Mam otwarcie powiedzieć? Żadnego. — Lecz ja uzurpuję je sobie, i zwę je prawem pierwszeństwa. Pół roku włóczę się za trupą waszą. — Pani przywykłaś do mnie, widząc iż nie jestem gorszym od drugich, a natomiast o wiele od nich otwartszym. Przyzwyczaiłaś się pani do mego widoku; — powoli zatęsknisz za mną, jeśli ci tylko dzień jeden mnie braknie. Tak będąc dziś już, jak sobie pochlebiam, twoim przyjacielem, stanę się nakoniec twoim —

MARYA.

Kochankiem?! Ten pomysł robi ci zaszczyt. Ale wątpię o jego skuteczności. — Znasz moje zasady.

BARON.

Znam naturę kobiet — i nie mniej moją wolę niezłomną, którą nazwij nawet uporem.

MARYA (*szarpiąc chusteczkę*).

Dajże mi baronie dowód twojej uległości.

BARON (*zrywając się*).

Pani — rozkaż tylko...

MARYA (*rzucając się w szeslong*).

Tam na stoliczku pod oknem leży rola, którą jutro w zastępstwie Emilii grać muszę. — Racz mi ją podać.

BARON (*uskuteczniając to*).

Rozumiem; jestto sposób delikatny powiedzenia: Baronie racz pójść sobie za drzwi. — Pani, oto rola. — Za godzinę próba. — Wiem to, gdyż wiem zawsze o wszystkiem, co ciebie dotyczy, z dokładnością zegarka. Wrócę — aby panią odprowadzić na nią.

MARYA (*ozięble*).

Czy to koniecznie?

BARON.

Koniecznie — chyba zakażesz. To także należy do moich planów.

MARYA.

Jesteś śmiesznie upartym Baronie.

BARON.

Upartym jestem — nazwa zupełnie odpowiednia memu charakterowi. Jestto żyłka, odziedziczona po ś. p. dziadku moim, w czystej linii praprawnuku Abrahama, Izaaka i Jakuba. (*kłania się i odchodzi*).

Scena 2.

MARYA (*zrywa się spazmatycznie z siedzenia*).

Uśmiech na ustach... w piersi ciche łkanie..
Blansz na policzku.. a łza w oku skryta..
Ciało ponętne w złocistym łachmanie...
A dusza zwątpień i boleści syta,
Serce Nioby — przy twarzy Amorka...
Oto — Aktorka!

Celem jej — oklask. — Na scenicznym prochu
Krwią piersi własnych płaci te zaszczyty;
Cześć jej — na pastwę rzucona motłochu,
Płochą igraszką w ustach Sybaryty.
Wszak jej ideał — „brzęk pełnego worka“...
Oto — „aktorka!“

Lecz gdy po życiu zawodów, boleści,
Pracą złamana wypoczynku szuka —
Już huczny oklask ucha jej nie pieści,

Lecz — czeka nędza!... Tak popłaca sztuka...
I tam — pod strzechą żebraczego dwórka,
Ginie — aktorka!
(przyciska chustkę do oczu).

Scena 3.

Marya — Emilia *(wchodząc z drzwi od prawej).*

EMILIA.

Przyszłam ci podziękować za porwanie mi mojej roli.

MARYA.

Dziwią mnie twoje słowa. Znasz położenie nasze. Jesteśmy zawisłe od woli dyrektora. Jeśli mnie przydzielił rolę, którą ty grać miałaś — nie moja w tem wina.

EMILIA.

Zapewne. *(na str.)* Nienawidzę jej. — *(głośno)* Jesteś wzruszoną Maryo— cóż za powód tych łez?

MARYA.

Rozpatrzywszy się w życiu naszem, nie mogę się od nich wstrzymać.

EMILIA.

Czy myślisz, że i ja kiedyś nie czułam po-

dobnie? Ale ja, moja Maryo, dłużej od ciebie żyję na scenie — przyzwyczaiłam się zresztą powoli. Co pierwej mnie raziło, to teraz wydaje mi się zupełnie naturalnem — co mnie kiedyś bolało, to nie sprawia dziś na mnie żadnego wrażenia.

MARYA.

Tak ci zobojętniało to wszystko, na czem ci pierwej zależyć mogło?

EMILIA.

Zupełnie Z początku drżałam na myśl, aby nie podać nikomu sposobności obgadania mnie; płakałam na odgłos każdej ploteczki doniesionej mi przez usłużne koleżanki. Przekonałam się jednak wkrótce, że to wszystko nic nie pomogło. Obgadywano mnie na równi z innemi, paszkwilowano nie mniej jak drugie... Hola, pomyślałam sobie — mam cierpieć daremnie, niech więc wiem przynajmniej za co. Przesądy odtrąciwszy na bok, poszłam drogą, jaka mi była dogodna. Świat swoje, a ja swoje. On mnie obgadywał, ja drwiłam z niego. I oto mam dobry humor i apetyt niezgorszy. Zresztą prawda — czynię coś i dla świata. Codziennie widzą mnie w kościele.

MARYA (*ironicznie*).

Jesttò zawsze heroizm z twej strony.

EMILIA.

Złe języki prawią to i owo. Ja drwię z świata i ze złych języków. Przyniesie mi pan Alfons piękny upominek — m e r ç i; pospieszy nazajutrz pan hrabia z miluchnym garniturkiem, nie zasmucę go koszem, jak ty to czynisz. Świat to uważa za lekkomyślność, ja uważam to za hołd składany memu talentowi.

MARYA.

Czy nie zastanowiłaś się nigdy nad tem, że dobra sława jest wszystkiem u kobiety. Nie przyjąwszy drogiego upominku zmartwiłabyś może trochę próżność kobiecą, ale nie podałabyś przyczyny do sądzenia ciebie.

EMILIA.

O jakżeś nieświadoma jeszcze naszych stosunków teatralnych! Ty nie przyjmujesz upominków, ja niemi wzgardzić nie myślę — a jednak... w cztery oczy powiedzmy sobie — czy jesteś przez to lepiej uważaną; czy cię to ochrania od plotek i obmowy? — Nie! — Aktorkę, czy przyjmuje upominki, czy nie, zawsze jedna i ta sama czeka

opinia. Przyjmuje, źle — nie przyjmuje, musi być w tem jakaś tajemnica; zapewne nie chce narazić się nieznanemu, mitycznemu kochankowi; ale że go mieć musi — jednego — dwóch — lub więcej — to nie może podlegać żadnej wątpliwości.

MARYA (*z goryczą*).

O ileż w tem prawdy!

EMILIA.

Ja też biorę — biorę wszystko, co kto daje— jeśli się bawią kosztem mojej osoby, niech więc będzie przynajmniej za co. Zresztą nikt mi niczego dowieść nie potrafi, a koleżanki boją się mnie, bo przed moim wzrokiem nic się nie ukryje. (*urywa*) Apropòs — co to za chłopiec młody i bogaty, którego miano przedstawić ci na próbie?

MARYA.

Nie znam go.

EMILIA (*krząkając*).

Tak? — — Hm — Był tu baron u ciebie? Czy odbył swą wizytkę codzienną?

MARYA.

Tak jest; wyszedł przed chwilą.

EMILIA.

Jakże długo dasz mu tak wzdychać nadaremnie?

MARYA.

Proszę cię Emilio — uwolnij mnie od twoich zapytań

EMILIA.

Ah! To ci, jak uważam, nie miłe... To cię drażni, nieprawdaż? Drażni cię, jak mnie twoje zapytanie, dlaczego przyjmuję upominki? — Jestem kobietą, jak ty!

MARYA

Nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego rozmowy nasze zawsze kończyć się muszą niesnaską; nie podaję nigdy do nich powodu, i aby uniknąć jej, odchodzę — *(wychodzi na lewo).*

Scena 4.

EMILIA *(sama).*

Dlaczego rozmowy nasze tak kończyć się muszą? Dlatego, że znieść cię nie mogę, ty chodząca niewinności! Dlatego, że głupia publiczność szaleje za tobą! O żebym upokorzyć cię mogła, moja ty piękna skromnisio. — Cicho — czyjeś kroki... Nie mylę się, to Fabrycy.

Scena 5.

EMILIA — FABRYCY.

FABRYCY.

Jesteś samą?

EMILIA.

Czekam cię niecierpliwie. Pomówimy ze sobą bez świadków Ta nieznośna dzisiejsza primadonna odeszła.

FABRYCY.

Lica twoje zaognione; przypominasz mi waleczną Bellonę.

EMILIA.

Miałyśmy małą sprzeczkę.—Nienawidzę jej.

FABRYCY.

Miałażby to być zazdrość?

EMILIA.

Być może; od chwili zjawienia się jej w naszem towarzystwie straciłam na znaczeniu. Wyparła mnie z mego stanowiska. — Jej bladziutka, melancholijna twarzyczka zjednywa sobie tę głupią gawiedź...

FABRYCY.

Nie psuj sobie krwi kochana Emilko.

EMILIA.

Cóż twoje interesa?

FABRYCY.

Trochę się popsuły. Ja to przedstawiłem jej podczas twej nieobecności hrabicza. Miasto podziękować mi, a do serca wziąść moje rady, szanowny Henryk zaczyna się emancypować z pod mojego wpływu. Najpierw ma do mnie pretensyą, iż obraziłem bogdankę jego marzeń — a teraz rozkochawszy się w niej do reszty, stracił głowę, bawi się w bajronistę, udaje Wertera, biega dniami po lasach, a noce przy księżycu przepędza pod oknami ubóstwionej, żeby choć odetchnąć powietrzem, którem ona oddycha.

EMILIA.

Nie mówiłam, że ona głowy ludziom zawraca?

FABRYCY.

Przerachowałem się trochę. Sądziłem, że straciwszy głowę stanie się manekinem w moich rękach...

EMILIA.

Więc wszystko stracone?...

FABRYCY.

Ah! Za cóż mnie masz?—Nie tak łatwo wypuszczam z rąk taki kąsek.

EMILIA.

A jeśli przepadły twoje plany niepowrotnie? Ten hrabia coś mi się niepodoba Będzie to podobna jej sentymentalnie gruchająca turkaweczka— a taki platonista —

FABRYCY.

O w takim razie — jeszcze jedno mi pozostaje. Uwiadomię o wszystkiem jego ojca. Ma to być dumna sztuka; guwerner Henryka wiele mi o nim opowiadał. Stary nie życząc sobie, aby synek bałamucił się, nie pożałuje kabzy, aby go wycofać z tego położenia.

EMILIA.

Pięknie to, panie Fabrycy — ale...

FABRYCY.

Już: panie Fabrycy?

EMILIA (*obojętnie siadając*).

Mnie tak potrzeba pieniędzy...

FABRYCY.

Ależ Emilko...

EMILIA.

Blutigel chce mnie zapozwać — potrzeba mi jedwabnej nowej sukni.

FABRYCY.

(*na str.*) Wiecznie to samo — (*głośno — dobywając pugilaresu*) Sądzisz, że dla Emilki z pod ziemi nie potrafiłbym wydobyć pieniędzy?

EMILIA (*zrywając się*).

Masz? masz?

FABRYCY.

Oto są.

EMILIA (*rzucając mu się na szyję*).

O mój kochany, drogi mój Fabrycy!

Scena 6.

Ciż i Marya.

MARYA (*na ten widok staje dumnie mierząc ją wzrokiem — po chwili pogardliwie*).

Przepraszam.

EMILIA (*na str.*)

Zawsze ona... Nienawidzę jej... (*głośno*) Panie Fabrycy — proszę pana do mego pokoju. (*odchodzą na prawo*).

MARYA (*sama*).

I ona z urąganiem śmiała rzucić mi w oczy, że jest taką kobietą jak ja? O Boże, jakież otoczenie — A ja się od nich wyrwać nie mogę. Powiadają, że mam talent — Ofiarować chciałam usługi moje dyrektorowi w stolicy, lecz żal mi poczciwego Koryolana. On we mnie widzi całe swe zbawienie; przezemnie poprawia się finansowo — a przecież on mnie przyjął, jak ojciec, gdy świat cały opuścił sierotę.

Scena 7.

Marya — Henryk.

MARYA (*na str.*)

On!... Dziwne uczucie... Widok tego młodzieńca porusza mnie do głębi...

HENRYK.

Z nieśmiałością zbliżam się do Ciebie pani; przychodzę ze skruchą. Kilka dni temu byłaś pani świadkiem oburzającego cynizmu pana Fabrycego, który mieni się moim przyjacielem. Jeśli pani raczysz przyjąć moje uniewinnienie...

MARYA.

Proszę usiąść.

HENRYK (*siadając*).

Jestem pani posłuszny. Lecz racz mnie pani pierwej uspokoić, czy nie masz do mnie żalu, czy mną nie pogardzasz?

MARYA.

Nie wspominajmy więcej o tem.

HENRYK.

Przeciwnie. Chcę się zupełnie wytłumaczyć. Chcę Cię, pani, przekonać, jak wiele mi na jej dobrem mniemaniu o mnie zależy. Lekkomyślny Fabrycy sądząc się być w towarzystwie —

MARYA.

Aktorek — chciałeś pan powiedzieć...

HENRYK

Pani...

MARYA.

Nie wstrzymuj się pan Wszak tak było w istocie. Byliście panowie w towarzystwie aktorek. Pański przyjaciel uczynił to, co na jego miejscu każdy młody człowiek byłby uczynił, mianowicie licząc się do wyższego towarzystwa. Nie pojmuję zatem, co pan w tem tak dziwnego dziś widzisz? Przy takiej sposobności lubicie panowie nie krępować się nieznośnymi więzami etykiety lub choćby tylko grzeczności — — Nie mówię, gdyby tam były kobiety... wtenczas co innego... ale tam były tylko aktorki...

HENRYK.

Pani nie czujesz, jak mnie boli ta piekąca ironia w Jej ustach.

MARYA.

Czy tłumaczyłeś się pan, panie hrabio, podobnie przed Floriettą, Amancyą lub Pulcheryą?

HENRYK.

Nie, pani — w istocie..

MARYA.

Dlaczegoż nie, panie hrabio?

HENRYK.

O, bo pani zupełnie jesteś odmienną istotą... Nie wiem, jak wyrazić się jaśniej — ale różnica między niemi a panią tak jest wielką...

MARYA.

Krzywdzisz pan moje koleżanki.

HENRYK.

Racz mnie pani pojąć... Tamte panie a Ty — to niebo i ziemia. Podczas gdy one same zwalniają nas przy pierwszem zaraz poznaniu z wymagań, jakie ma prawo stawiać godność kobiety — pani całą swą powierzchownością, bez słów wyrzutu nakazujesz mimowolnie, aby cię szanowano... I ja, pani, wówczas doznałem tego wrażenia i musiałem stać mu się posłusznym; a dziś, dziś, pani, stokroć silniej wpoiło się ono w moją duszę...

MARYA.

Mamże wziąść to za prawdę, czy za grzeczne pochlebstwo?

HENRYK.

Ja jestem tak młody, jestem niedoświadczony; pochlebiać nie umiem jak drudzy.

MARYA.

Moi panowie; aktorki takich doświadczają złudzeń... Tak w każdym wyrazie przyzwyczajone są szukać obłudy lub pochlebstwa...

HENRYK,

Widzę, że mi pani nie uwierzysz...

MARYA.

Mówisz pan, żeś młody; widać to po panu... (*ironicznie*) Czy zastanowiłeś się dobrze nad tem, co czynisz, zbliżając się do aktorek? Czy wiesz pan, czem one są? Czy nikt jeszcze ze zgrozą rąk nie załamał nad Tobą, ujrzawszy Cię na progu tej jaskini wszelkich niebezpieczeństw? Czy nikt Ci bratniej nie udzielił rady: Strzeż się sideł tych stworzeń — które noszą aktorek nazwisko?

HENRYK.

Jakże srogą jesteś pani dla siebie.

MARYA (*śmiejąc się spazmatycznie*).

Więc panu nikt oczu nie otworzył, jaką sztukę udawania posiadają te kobiety?...

HENRYK.

Pani tego nie jesteś zdolną.

MARYA

Zkądże pewność?

HENRYK.

Głos powszechności —

MARYA.

Powszechności!... Opowiem Ci, panie hrabio, zdarzenie moje wczorajsze. Wstąpiłam do kościoła. Usiadłam w ławce. W około wszystkie miejsca były zajęte prócz jednego obok mnie. Weszła pani marszałkowa z Dąbrowy szukając okiem wolnego miejsca. Usunęłam się pani marszałkowej — usiadła. Po chwili spojrzała mi w twarz... musiała poznać we mnie aktorkę. Rumieniec okrył jej szlachetne oblicze... wstała szybko mierząc mnie wzrokiem oburzenia — i stanąwszy obok ławek opodal, wolała stojąc doczekać się końca mszy św., aniżeli ocierać się o sukienkę — komedyantki — Dni kilka przed tem rzuciła mi bukiet z loży, unosząc się nad biednym moim talentem.

HENRYK.

Co za uprzedzenie!...

MARYA.

Czy tylko jedna pani marszałkowa mu hoł-

duje? Odpowiedz, panie hrabio! Odpowiedz otwarcie.

HENRYK.

Zaiste...

MARYA.

Nie chcesz pan przyznać, że to samo uczyniłyby wszystkie nasze panie...

HENRYK.

Kobiety wszędzie liczniejszym podlegają przesądom.

MARYA.

Aniżeli męszczyźni? Być może.. Jeszcze jedno zdarzenie. Co pan sądzisz o panu Baronie Szarskim?

HENRYK.

Człowiek dystyngwowany, mile widziany w wyższych towarzystwach.

MARYA.

I nadający ton całej okolicy... Tak jest. On sam. Otóż ten pan Baron Szarski, którego nawet zowią moim setnym i którymś kochankiem, towarzyszył dni temu kilka na ulicy pani Radczyni z Rudawki, pani Szambelanowej z Głębokiej i pannie

Szambelanównej. Zbliżyłam się do nich spiesząc na próbę. Panie raczyły zmierzyć mnie od stóp do głowy przez szkiełka szepcząc między sobą ale wcale donośnym głosem — a pan Baron zręcznie twarz odwróciwszy podziwiał nowo pomalowane sztachety pana burmistrza. Godzinę przed tem pan Baron w tym pokoju składał mi swoje hołdy.

HENRYK.

To podłość!

MARYA.

Nie panie, to zwyczaj.

HENRYK.

I pani nie zamknęłaś mu drzwi?

MARYA.

Ach, niedoświadczony hrabio! Gniew Barona, to gniew Jowisza, a pioruny jego mogą być bardzo dotkliwe.

HENRYK.

Jakto pani?

MARYA.

Nie pojmujesz hrabio? W sposób bardzo prosty! Zbliża się do pana recenzenta lub korespon-

denta stołecznych gazet i zaprosiwszy na dobre śniadanko przekonuje go się o miernej lub żadnej wartości aktorki. Potem powtarza to się wspólnie z usłużnymi półpankami, satelitami, w kawiarniach, cukierniach i na miejscach publicznych. Nakoniec aby nadać siły swemu twierdzeniu, zakupuje się pewną liczbę przejrzałych owoców i rozdzieliwszy je zręcznie na galeryi —

HENRYK.

To nikczemne!

MARYA.

To prawdziwe. Tak dowiadujesz się pan, dlaczego aktorka zachować musi pół uśmiechu i pół grzeczności dla wszystkich. — Milczysz pan?

HENRYK.

Ależ to okropne! Być ciągle na łasce ludzi niepowołanych — ciągle być narażoną na dowolność sądu o swej sławie i o swoim talencie — otoczoną być wiecznie fałszem, obłudą, intrygą — o pani — to nie jest życiem...

MARYA.

Dodaj pan do tego częstokroć niedostatek i niepewność jutra — a masz pan obraz prawdziwy

aktorki, szczególnie tu, na deskach prowincyonalnych.

HENRYK.

Nowy świat odsłania się przedemną... *(pauza)*.

MARYA *(drżąco)*.

Panie hrabio — nazwisko pańskie nie jest mi obcem... Czy masz pan krewnych?

HENRYK.

Niestety, ja i mój ojciec ostatni jesteśmy naszego rodu.

MARYA *(na str.)*

Nieba...

HENRYK.

Jeśli pani nazwisko moje nie obce, więc ojciec mój musiał pani być znanym...

MARYA *(drżąco)*.

Więc ojciec pański lat temu kilka bawił w stolicy?... Imię jego...

HENRYK.

Edward.

MARYA (*na str.*)

Edward...

HENRYK.

Pani znałaś go osobiście?

MARYA (*upominając się*).

Słyszałam o nim wiele.. (*urywając*) Ojciec pana bardzo Go kochać musi...

HENRYK.

O tak... żyje mną, jako nadzieją ostatnią rodu naszego... Lecz cóż to?... pani drżysz... bledniejesz...

MARYA.

Nic to — nic, panie hrabio... to przejdzie...

HENRYK.

Pani cierpisz... jakże mnie bladość ta przeraża...

MARYA.

Uspokój się pan — czuję się już zupełnie dobrze...

HENRYK.

Pani; wyraz twej twarzy świadczy, że cierpisz. W oczach twych tyle widocznej boleści.. A

ja, pani, ja oddałbym szczęście całego życia dla otarcia jednej łzy z Twoich oczu.

MARYA (*na str.*)

Wielki Boże...

HENRYK.

Miałbym tyle pani do powiedzenia... chciałbym ulżyć przepełnionemu sercu wyznaniem, które złożyć Ci, pani, obawiam się... tak, obawiam, abym w oczach Twoich nie wyglądał na szaleńca.

MARYA.

Zlituj się pan — nie kończ... Pan nie możesz nigdy mnie zrozumieć...

HENRYK.

Pani — tyś tyle razy podobne słyszeć musiała wyznania — wyznania, które dyktowała obłuda, fałsz, wyrachowanie... I mnie pani może policzyć zechcesz do grona tych wielbicieli, jakim jest Baron, o którym wspominałaś.. Tego ja się obawiam i ta niepewność zamyka mi usta. To, co chcę Ci wyjawić, kładzie mi serce na drżące wzruszeniem usta, a Ty, pani, możesz to policzyć na karb lekceważenia Ciebie albo bezprzykładnego zuchwalstwa.

MARYA.

Tak niespodziane są pańskie słowa... *(na str.)* Mój Boże, co ja mu powiem?...

HENRYK.

O, pani! gdybyś wiedziała, jak długo walczyłem ze sobą, zanim odważyłem się na ten krok szalony!... Odtrąć mnie potem chłodnym wyrazem politowania, odbierz mi nadzieję jednem skinieniem obrażonej godności — a jednak pozwól pani wypowiedzieć Ci tajemnicę mojego serca. .

MARYA (*upominając się — poważnie*).

Rozumiem Cię, panie hrabio... Panu się zdaje, że mnie kochasz... Poznałam twoją szlachetność, i nie waham się sądzić, iż to, co mówisz, płynie Ci z serca. Dla tego tylko, z tej jednej przyczyny, słuchałam Cię, hrabio, spokojnie. Rozważ pan swoje położenie. Dajesz się porywać chwilowemu szałowi i miasto starać się go opanować rozsądkiem męszczyzny, rozżarzasz go poddaniem się — dziecka,

HENRYK.

Chwilowy szał, powiadasz pani?—Nie, pani... to nie chwilowy obłęd. To przeświadczone, głębokie uczucie młodocianej duszy. Od tej chwili, kie-

dy łagodny wzrok twój, pani, spoczął na mojej osobie wstrząsnąwszy całem mem jestestwem, od tej chwili czuję, że kocham Cę pani pierwszą, wielką miłością. Tygodni kilka przedziela mnie od tej chwili, w której uległem czarowi twojego spojrzenia... Ale tygodnie te były dla mnie latami. Fabrycy na moją prośbę zawiódł mnie na ową próbę, gdzie miasto przychylności twojej, pani, uzyskać musiałem litość lub pogardę. Odtąd niepewność, zwątpienie i gwałtowność wzrastającego uczucia wygnały sen z mych powiek. Jak szalony błądziłem po okolicznych lasach — płacząc jak małe niemowlę... O pani, miłość moja nie jest obłędem... i nie jest szałem chwilowym...

MARYA (*na str. — zapominając się*).

Biedny... widzę łzy w jego oczach... O i jam kiedyś także tak kochała...

HENRYK.

To, co wyznałem, nie może Cię, pani, obrażać. Nie możesz zapoznawać czystego głosu mego serca...

MARYA (*upominając się*).

Nie zapoznaję szczerości w tych słowach Lecz zastanowiłżeś się, hrabio, do czego to prowadzi?

HENRYK.

Ja nad niczem nie chcę się zastanawiać; czyż u mnie zimna rozwaga jest możliwą? Ja z niczego więcej sprawy sobie zdawać nie chcę, tylko z mojej miłości. Ja obawiam się wszelkiego zastanowienia, gdyż obawiam się już możliwości samej utraty twego widoku. O, ja obawiam się nawet spytać Ciebie, pani, czy wzruszyłem twe serce moją opowieścią i czy mi pozwolisz mieć choćby słaby odbłysk nadzieji...

MARYA (*z udanym chłodem*).

Czy sądzisz, hrabio, że mogę zostać Jego kochanką?

HENRYK.

Nie podejrzywaj pani świętego mego uczucia. W tej chwili duch mój błądzi po wyżynach i jakiś świat idealnego nieznanego szczęścia otwiera się przed nim uroczo... Bez Ciebie, pani — nie pojmuję tego szczęścia. Ty jesteś jego podstawą, ono w tobie tylko polega. Jestto głębokie moje przeświadczenie... (*zsuwa się na kolana*) Pani — czy nie znajdziesz dla mnie żadnego słowa choć słabej pociechy?...

MARYA (*drżąco — na str.*)

Biedny młodzieniec... Co za okropne spotkanie...

Scena 8.

CIŻ I EMILIA.

HENRYK (*zrywa się zmięszany*).

EMILIA (*złośliwie*).

Ah... przepraszam... przeszkodziłam...

HENRYK (*na str.*)

Niebaczny! Cóż uczyniłem!...

MARYA (*na str.*)

Stało się, czego chciała.

EMILIA (*z naciskiem*).

Baron, który cię ma, jak zwykle, odprowadzić na próbę, powraca. Wiedząc iż ktoś jest u ciebie, chciałam cię uprzedzić... Sądzę, że mi podziękujesz; wyświadczyłam ci bowiem prawdziwie koleżeńską przysługę.

HENRYK (*zagryzając usta*).

Niepotrzebnie pani się trudziłaś; to, co powiedziałem w tej chwili pannie Maryi, mogę powtórzyć i w obec pana Barona.

EMILIA (*udając, iż go dopiero poznała*).

Ah! Jeśli się nie mylę, pan hrabia Żmudzki...

HENRYK (*j. w.*)

Czy panią dziwi moja tu obecność?

EMILIA.

Bynajmniej — spodziewałam się tego...

MARYA (*łagodnie*).

Winszuję ci przenikliwości Emilio.

HENRYK (*do Maryi*).

Pani—Czy mi wybaczysz chwilę zapomnienia?

MARYA.

Dla czego pan się tłumaczysz? Spojrzyj hrabio — Emilia wcale się nie dziwi — wszak jesteś pan u a k t o r k i!—(*urywa i wybiega na lewo przyciskając skronie*). Więc to jego syn!...

Scena 9.

Ciż (*bez Maryi — potem*) Baron.

HENRYK.

Pojmuję, ile to boleć ją musi; naraziłem ją

na obmowę usłużnych koleżanek... (*głośno do Emilii*) Spodziewam się, że pani tego jesteś przekonania, iż tylko zapomnieniu się mojemu przypisać należy scenę, której byłaś świadkiem...

EMILIA.

Winszuję panu postępu!

HENRYK (*gwałtownie*).

Pani! — (*wstrzymując się, urywa — kłania się i odchodzi — we drzwiach zdybuje się z wchodzącym Baronem — Stają i mierzą się chwilę wzrokiem.— Henryk wychodzi*).

BARON.

A...? — On tutaj?

EMILIA.

Czy to Cię dziwi, baronie?

BARON.

Jestem zazdrosny — pani wiesz o tem.

EMILIA.

Nie pojmuję tej zazdrości... (*z przekąsem*) Marya tak znaną jest ze swej niewinności...

BARON (*gryząc usta*).

A więc — rywal!...

(ZASŁONA SPADA).

AKT IV.

(Pokój Henryka w mieszkaniu Fabrycego)

Scena 1.

MULEWICZ *(sam — siedzi u stolika na lewo, zarzuconego papierami i książkami; po chwili — podnosząc głowę)*

Jeśliby kto mi powiedział: Porzuć te szpargały, a dam ci życie spokojne, wygodne, we własnym kąciku — powiedziałbym: Nie! Z tych szpargałów czerpię całe moje natchnienie; one są głównym czynnikiem mojego życia. Weź mi je, a pozbawisz mnie wszystkiego. Uschnę, jak kwiat bez rosy, jak to powiedział któryś tam poeta... *(spogląda na zegar)* Młody hrabia zniknął jak kamfora.— Już to, uważam, adolescens lubi absentować się teraz... No i my bywaliśmy młodzi... *(mruczy zatopiony w czytaniu.— Wchodzi hrabia Edward w ubiorze podróżnym i staje u drzwi).*

Scena 2.

Hr. Edward — Mulewicz.

MULEWICZ (*mrucząc*).

Panie Henryku, to ty?

EDWARD (*na str.*)

Siedzi spokojny; wlazł jak mól w papiery, jak gdyby spadkobiercy fortuny Żmudzkich żadne nie groziło niebezpieczeństwo...

MULEWICZ (*j. w.*)

Panie Henryku, to ty?

EDWARD.

Nie, to nie on!

MULEWICZ (*opryskliwie*).

Nie on? No to proszę później — nie mam czasu — jestem zajęty.

EDWARD (*występując na przód sceny*).

I ja go także nie mam, mości Mulewicz — mam go obecnie mniej, niż kiedykolwiek.

MULEWICZ (*odwraca głowę, zrywa się i zrzuca z głowy czapeczkę*).

Co?... Co?... Jaśnie wielmożny pan hrabia! Pan hrabia tutaj? Tak nagle, niespodziewanie?

EDWARD.

Tak jest, ja, mości Mulewicz! Jak widzisz!

MULEWICZ.

Wszelki duch chwali —

EDWARD (*wybuchając*)

Pięknie go chwalisz Acan, pomagając synowi w konszachtach z ujmą naszego nazwiska — i pozwalając mu oszukiwać nadto pobłażliwego ojca! To niegodnie, mości Mulewicz! Acan mi za wszystko odpowiesz!

MULEWICZ.

Ja? — Oszukiwać? — Konszachty?

EDWARD.

Proszę bez udawań.

MULEWICZ.

Przepraszam pana hrabiego! — Nie rozumiem.

EDWARD.

Ha! To pięknie! Pedagog! Nauczyciel! Guwerner! — O! ja Acanowi dam się we znaki, że mnie popamiętasz, zanim kochany pupil jako pełnoletni weźmie cię w swoją obronę! O gadziny!

MULEWICZ.

Ależ klnę się na ciało i duszę —

EDWARD.

Milcz Acan! Świątobliwą miną nie oszukasz mnie więcej. Czy jeszcze Acan sądzisz, że nie znam waszych sprawek, że mi tajno, jak zrobiłeś się narzędziem uległem w ręku tego młodzika, któremu w głowie zakulisowe romanse?— O jużto i matematyk sprytny z Acana! Wyrachowałeś sobie dowcipnie, ile tygodni brakuje do pełnoletności Henryka. Pomyślałeś sobie Acan: pochlebiać trzeba młodemu, bo wkrótce już będzie panem samego siebie.. Nieprawdaż? — Ale robiliście rachunek bezemnie! Hola! Jeszcze i ojciec ma swój głos w tej sprawie!

MULEWICZ.

Ależ panie hrabio dobrodzieju — jestem jak tabaka w rogu!

EDWARD.

Symulacye!

MULEWICZ.

Skarz mnie Boże!

EDWARD.

A dlaczegoż siedzicie tu jak w jamie? Czy na to wysłałem Henryka na przejażdżkę po kraju, aby się zakopywał w obwodowej mieścinie?

MULEWICZ.

Ależ, panie hrabio dobrodzieju, jemu tu się bardzo podobało.

EDWARD (*gwałtownie*).

A tak... zapewne! — I cóżeście tu robili?

MULEWICZ.

My?—My właśnie przechodziliśmy teraz Owidyusza Metamorphoseon — trzecią księgę — Bóg mi świadkiem — *(porywa książkę i pokazuje)* O tu właśnie stanęliśmy, jak...

EDWARD (*uderzając się w czoło*).

Ha! I ja temu mulowi powierzyłem tak szalonego młodzika! — Acan nie domyślasz się na-

wet, jakie uwiadomienie otrzymałem na wsi. Piorun uderzający w moją głowę mniej byłby mnie przeraził!. Czytaj Acan! *(podaje mu list)*.

MULEWICZ *(puszczając list)*.

Horrendum! *(pada w krzesło)*.

EDWARD.

Ani wątpliwości; nie wiedział o niczem! I jam mu syna mógł powierzyć! — Mów teraz! Cóż Acan na to?

MULEWICZ.

Horrendum!

EDWARD.

Otóż tak pilnowałeś tego szaleńca! Takaż to była twoja opieka? I Acan siedzisz tu sobie spokojnie, podczas gdy syn mój sprzysięga się na dobrą sławę mojego nazwiska — plugawi starą tarczę herbową marząc o tak niesłychanym mezaliansie! O Acan ciężko odpowiesz za to przed Bogiem! Na Acana spada winy połowa. Mów, radź

MULEWICZ.

Horrendum!

EDWARD

Mów, kto ona jest? Kiedy i gdzie się poznali? Jak daleko to zaszło? Co mam czynić, by go wyrwać z tej przepaści, zapobiedz temu, coście nawarzyli. — No mów, radź teraz Acan!

MULEWICZ.

Zabijcie mnie, poderżnijcie, ukamienujcie — nic nie wiem, nic nie wiem!

EDWARD.

Przynajmniej jakie wskazówki! — Odkąd zauważałeś na nim jaką zmianę?

MULEWICZ.

Od czasu naszego tu przybycia zmienił się młody hrabia nie do poznania. Spoważniał — ale też i stał się poetą... Marzył, wzdychał, nie sypiał, a ja niczego, niczego się nie domyśliłem!

EDWARD (*biega po pokoju gorączkowo*).

I to zaraz żenić się, żenić! Nie mówię, żeby był trochę poromansował — ale żenić się, żenić z aktorką! Czy on oszalał! — O Acan nie czujesz, co się dzieje we mnie! To plemię aktorskie spekuluje tylko na hrabiowskie korony! — Mości

Mulewicz, ja muszę zaraz z nim mówić. Gdzie on jest?

MULEWICZ.

Może u siebie, na górze...

EDWARD.

Szukaj go Acan — szukaj. Niech przyjdzie, niech przyjdzie natychmiast.

MULEWICZ

Idę — biegnę... O mój Boże! Któżby się był spodziewał!... A jeśli go niema na górze?

EDWARD.

Poszlij za nim — rozeszlij ludżi — niech zaraz przychodzi. — Powiedzcie mu, że ojciec go czeka. — Acan jesteś do niczego!

MULEWICZ.

Na stare lata! Do niczego! Moja reputacya! Aktorka! Horrendum! (*wybiega*).

Scena 3.

EDWARD (*sam — niespokojnie chodzi po pokoju*).

Żenić się! Ha! Jedynak — dziedzic mojego nazwiska i mojej fortuny — ostatni całego rodu

On miałby się żenić z aktorką?! Nie, to nie podobna — do tego dopuścić nie mogę. Gdy sobie wspomnę, że ten lub ów z naszych wszedł w podobny mezalians — drżę na tę myśl — i dziękuję anonimowi, że mnie przestrzegł przed grożącem nam niebezpieczeństwem! Szaleniec! — Wszak i ja będąc młodszym miałem podobny stosunek — a przecież nie popełniłem żadnego głupstwa, które by mnie skompromitować mogło. Ale nie! To nie moja krew; to wyrodek o niewieściem sercu, a gorączkowej głowie. To natura jego nieboszczki matki... ekscentryczki, jak on! Cicho – otóż Henryk...

Scena 4.

EDWARD — HENRYK.

HENRYK (*wpadając*)

Mój ojcze! Cóż za niespodzianka!

EDWARD (*ozięble*).

Witaj Henryku!

HENRYK.

Ojciec tu — — tak nagle — niespodziewanie — Jakiemuż to zdarzeniu zawdzięczyć mamy to szczęście oglądania tu Ciebie?

EDWARD.

Czy to zdarzenie jest rzeczywiście szczęśliwem — obaczymy; dlaczego przybyłem — dowiesz się.

HENRYK.

Tak ozięble mój ojcze?

EDWARD.

Chcę najpierw wiedzieć kogo witam.

HENRYK.

Nie pojmuję Cię ojcze...

EDWARD.

Podobnie, jak ja nie pojmuję ciebie.

HENRYK.

Jakto? Czy miałbyś mi ojcze co do zarzucenia?

EDWARD.

Widzę, że daleko doprowadziłeś w sztuce udawania, że styczności twoje i teraźniejsze stosunki nie bez wpływu na ciebie zostały... Jeszcze się dziwisz? Zapewne, któżby się mógł spodziewać, że ojciec w oddaleniu wie tak dobrze o podłości, jakiej kochany syn tutaj się dopuszcza?

HENRYK.

Podłości, mój ojcze?

EDWARD

Cóż to? Rumieniec oburzenia na twej twarzy, tym świadku bezsennie wśród rozpusty spędzonych nocy?

HENRYK.

Daruj ojcze, to, co mówisz, boli mnie... Nie zasłużyłem na takie wyrzuty. Nie poczuwam się do żadnej podłości...

EDWARD.

A jakże nazwiesz rzucanie w kał przeszłości praojców, szydzenie ze świętych obowiązków rodowych, poniewieranie czci swojej wśród istot podobnego rodzaju, jakie tobą dzisiaj owładnęły?!

HENRYK.

Mój ojcze — krzywdzisz mnie. Nie wiem, co mi wyrzucasz — Sądzę, że nie zasłużyłem na takie słowa potępienia.

EDWARD.

Faryzeuszu! — Oto masz — czytaj! *(podaje mu list).*

HENRYK (*z oburzeniem, przeglądnąwszy go*).

Podły oszczerca — i ty ojcze wierzysz podobnym zapewnieniom bezimiennym?

EDWARD.

Jakto? Więc to miałoby być fałszem?— Nie zwodzisz mnie?... Spojrzyj mi w oczy, chcę z nich wyczytać prawdę. Odpowiedz, nie masz stosunku z żadną aktorką?

HENRYK

Nie rozumiemy się, ojcze. Więc spokojnie racz wysłuchać spowiedzi mojego serca. Zwierzę ci się, bez hipokryzyi, jak ojcu.

EDWARD.

A! Przecież zwierzenia! Więc list ten nie kłamie!

HENRYK.

Kłamie, przedstawiając w tak ohydnych barwach najcnotliwszą kobietę — nie kłamie, donosząc Ci że ją kocham.

EDWARD

Szaleńcze!

HENRYK.

Tak jest ojcze; kocham ją, jak nigdy w życiu więcej kochać nie byłbym w stanie...

EDWARD.

I to komedyantkę! Histryonkę! Zbierz zmysły niegodny synu! Ty oszalałeś.

HENRYK.

Nie ojcze... mówię spokojnie, z przekonania. Kocham bowiem kobietę, godną takiej miłości, kobietę, która z Twojem zezwoleniem będzie moją żoną!

EDWARD.

Nigdy! Jeszcze nie jestem pozbawiony władzy, jaką mi prawo przyznaje. Zgniotę niesforne mrzonki młodzieńcze. Prędzej w grobie złożą mojego trupa, zanim usłyszysz z ust moich: zezwalam!

HENRYK.

Nie mów tak ojcze—drogie mi są dnie twoje.

EDWARD.

Faryzeim! Gdybyś tak czuł, jak mówisz, nie dożyłbym podobnego skandalu! — O ja rozumiem ciebie... czekasz tylko pełnoletności, aby wbrew woli ojca popełnić z lekkomyślności zdradę na tradycyi rodowej.

HENRYK.

Co do pełnoletności, rzecz inna Nie jako syn

nieposłuszny, ale jako człowiek honoru, nie kryję się z tem ojcze, że jeśli tylko ona nie odrzuci mojej ręki, pierwszy dzień mojej pełnoletności będzie dniem mojego ślubu.

EDWARD

Jeśli nie odrzuci twej ręki?! Więc do tego stopnia poniżenia własnej godności doprowadziłeś słaby charakterze! — Głupcze! Któraż aktorka nie uczepiłaby się ręki hrabiego Henryka?

HENRYK.

Gdybyś ją poznał ojcze, innego byłbyś zdania.

EDWARD.

Milcz!

HENRYK.

Jestem ci posłuszny ojcze!

EDWARD (*łamiąc ręce, biega po pokoju*).

Komedyantka! Aktorka! Histryonka! Uwiedli go, uwiedli! I to mój syn; mój syn! (*staje nagle*) I któż ona jest! ta wybranka twojego serca — twoja narzeczona — ha — ha — przyszła pani hrabina?

HENRYK.

Nieznane tu prawdziwe jej nazwisko i rodzinne stosunki, występuje bowiem pod zmienionem nazwiskiem. Zapewniam Cię jednak ojcze, że wielką jej dusza i szlachetne jej serce. Jestto zjawisko niezwykłe — imponujące; dlatego też otacza ją uwielbienie i szacunek powszechny.

EDWARD.

Deklamacye!

HENRYK.

Mylisz się mój ojcze! — Pozwalasz się porywać uprzedzeniu.

EDWARD.

Zaślepiony! Zaślepiony!

HENRYK.

I zkądże ojcze ta gorycz? Jestże to sprawiedliwem pogardzać istotą, której się nie zna — potępiać artystkę, pracującą z całem zaparciem się, ze świętym zapałem dla sztuki. Czemże są w porównaniu z nią wielkie damy naszego świata? Wierz mi ojcze, tam, gdzie aktorki szukacie, nie raz znajdzie się wielka i szlachetna dusza, a przeciwnie w około nas, ojcze, kędy serc szukamy, jak-

że często niestety ukrywa się tylko zręczna aktorka! — O nie na deskach teatralnych szukajcie aktorstwa w życiu, ale na waszych śliskich salonach!

EDWARD.

Sofizmata! Jesteś szalony chłopcze! Wybij sobie z głowy te urojenia, albo lękaj się gniewu mojego! Milczysz?...

HENRYK.

Wybierałem w tej chwili między głosem twoim, ojcze, a głosem serca i honoru — i wybrałem.

EDWARD.

Nie kończ! — Po takim jak ty ekscentrycznym szaleńcu — tylko uporu i nieposłuszeństwa spodziewać się mogę! Nie, to nie moja krew — to krew matki jego, kobiety, której nigdy zrozumieć nie mogłem!

HENRYK.

O gdyby ona żyła — onaby mnie pojąć umiała!

EDWARD.

Tak, zapewne! Dobrana byłaby para. Ona żyła ciągle dla jakichś tam wymarzonych ideałów — a ty — ty w aktorce szukasz szczytu niewieściej

wielkości! Ale dość rozumowań! Przekonałem się, że za daleko posunąłeś się w niepojętej mi ekstrawagancyi. Widzę, że innych środków użyć mi należy, które mi podaje w ręce ojcowska moja władza nad małoletnim. — Dziś wyjedziemy.

HENRYK.

Ojcze!

EDWARD.

Dziś wyjedziemy — słyszałeś.

HENRYK.

Szanuję twą wolę ojcze — a jednak nie żądaj tego odemnie.

EDWARD.

Przemocy więc mam użyć?

HENRYK.

Sądzę, że ojciec uniknąć zechcesz publicznego skandalu. Nazwałeś mnie ojcze szalonym; czuję że, jeśli mnie kto do ostateczności doprowadza, — jestem nim. Ojcze, nie przywodź mnie do tej ostateczności, abym nie zapomniał, kim jesteś dla mnie.

EDWARD.

Grozisz mi wyrodny?!

HENRYK.

Daleką ta myśl odemnie, mój ojcze; przestrzegam Cię tylko, że będziesz przyczyną wielkiego nieszczęścia...

EDWARD.

Przyznajesz się do twego szaleństwa? — Dobrzeż więc — kaftan i zimna woda: oto na tę chorobę lekarstwo!

HENRYK,

Nadto surowym jesteś ojcze.

EDWARD

Gwałt na gwałt.—Jeśli dobrowolnie odjechać ze mną nie chcesz, więc wywieść cię rozkażę.

HENRYK.

Pierwszemu, który na mnie dłoń swą położy w łeb strzelę! (*biegnie do biórka na lewo*).

EDWARD.

Dziecińistwo!

HENRYK.

Ojcze! Powtarzam — będziesz przyczyną wielkiego nieszczęścia!

EDWARD.

Obaczymy! (*chwyta za dzwonek*).

HENRYK.

Chcesz tego ojcze? (*dobywa z biórka krucicy i odwodzi kurki*).

EDWARD

Co czynisz? Nędzniku!

HENRYK (*z zimną krwią*).

Teraz możesz ojcze zawołać twych ludzi! (*pauza*).

EDWARD (*po chwili złamany*).

Synu mój — Dlaczego niszczyć chcesz wszelkie moje nadzieje?

HENRYK (*odrzucając krucicę*).

O — tym głosem nie przemawiaj do mnie, ojcze... Boli on mnie srożej, jak poprzedni.—Przeciw gniewowi twemu, przeciw uprzedzeniom twoim upor stawić potrafię... ale przeciw żałości twojej niemam środka, prócz śmierci!

EDWARD.

Więc nie znajdziesz dla mnie słowa pocieszenia?

HENRYK.

Poznaj ją ojcze, a nie będziesz go potrzebywał wcale; nie będziesz żądał odemnie, abym wziął rozbrat z marzeniami mojemi... Ojcze! Jeśli na tej lodowej ziemskiej skorupie zabłyśnie nam gwiazda jasna i czysta — nie przerywajmy przemocą nici sympatycznej, która nas z nią wiąże, ogniwa uwielbienia, które nas z nią jednoczy — nie wytępiajmy w sobie ostatniej iskry zapału dla tego, co piękne i szlachetne, abyśmy nie zeszli na tych automatów, których ruchami rządzi tylko zysk lub rachuba!

EDWARD.

Poeto! Szukasz drogi w obłokach... (*na str.*) Uspokoić go potrzeba, zanim rozważymy, co czynić należy... (*głośno*) Jesteś nadto wzruszony — Widok twego ojca miasto sprawiać ci radość — rozdrażnia cię. Oto są skutki takiego nieporozumienia, na które wzdryga się natura.. Odejdź — uspokój się — Gdy powrócisz do zimniejszej krwi, gdy będziesz spokojniejszym, rozmówimy się... Idź, idź Henryku — mnie także potrzeba spoczynku..

HENRYK (*waha się chwilę, jakby chciał przemówić — potem rzuca się nagle we drzwi i wybiega*).

Scena 5.

EDWARD (*sam*).

Więc tak daleko zaszło jego zaślepienie! — Wkrótce przypada dzień jego pełnoletności — Podstaw prawnych do osiągnięcia sądowej pomocy niema — — A jednak ja muszę zerwać ten stosunek, zanim to będzie za późno... Cóżby na to powiedział hrabia Adam, z którym ułożyliśmy już ugodę przedślubną o jego córkę... Szalony chłopiec— Tam hrabianka Julia, piękna, dystyngwowana, majętna — a tu jakaś... jakaś aktorka nieznanego nazwiska — ciemnego pochodzenia — — Piekło go tutaj przywiodło!

Scena 6.

EDWARD — FABRYCY.

FABRYCY (*na str.*)

List mój skutkował. Baron nie płacił daremnie. (*gł.*) Panie hrabio!

EDWARD (*odwracając się*).

Panie...

FABRYCY.

Jestem Fabrycy — przyjaciel pańskiego syna, autor wiadomego hrabiemu listu.

EDWARD.

A więc to pan... Dziękuję panu serdecznie za to doniesienie. Wyświadczyłeś mi pan cenniejszą może przysługę, niż się tego spodziewać mogłeś, a równocześnie i temu lekkomyślnemu młodzieńcowi, którego mienisz się być przyjacielem.

FABRYCY.

Nie ceniłem kroku tego mniej, panie hrabio, niż na to zasługuje... Nie było mi tajemnicą, że za kilka tygodni ustaje małoletność młodego hrabiego.

EDWARD.

Słusznie — słusznie... widzę, żeś pan jego prawdziwym przyjacielem, o jakich dziś tak trudno... Jako takiego, pozwolisz pan, że zapytam o radę, co czynić należy... (*na str.*) Zimnej krwi! — (*głośno*) Mogę służyć? *(podaje mu etui ze sygarami).*

FABRYCY (*wybierając sygaro — na str.*)

Czy on mnie tem zbyć zamyśla?

EDWARD.

Jakież pańskie zdanie w tej mierze? Jak załatwić tę sprawę? Jak wybrnąć z tego nieznośne-

go położenia? Próbowałem przemocy — jest to środek nadto heroiczny — doprowadzić może do —

FABRYCY.

Nieszczęścia — ani wątpliwości. Henryk jest nadto gwałtownym.

EDWARD.

O, to rodzony syn swojej matki. — Nie wiesz pan, co mnie kosztowała ta ekscentryczka.

FABRYCY.

Trudna będzie sprawa. Znamy go obaj nadto dobrze.

EDWARD.

Nie myślałem, aby stosunek ten zaszedł tak daleko. Więc rady, panie, rady. — Nie chcę szczędzić niczego, aby tylko wyrwać ztąd Henryka. — Pan milczysz?

FABRYCY.

Mam mówić?

EDWARD.

Uwiadamiając mnie o tem nieszczęściu, snać byłeś pan równego ze mną zdania. Będąc Henryka przyjacielem postąpiłeś pan sobie szlachetnie; dokończ więc teraz swego dzieła i dopomóż mi w mo-

ich usiłowaniach. Pan lepiej znasz tę sprawę i osoby. Stosunki tutejsze nie są panu obce. Powtarzam więc: rady, panie, rady!

FABRYCY.

O tak, rada w porę i stosownie udzielona zmienić może nie raz sytuacyę. W podobnem np. jestem i ja położeniu. Mój gospodarz, mający dziką pretensyę, abym mu komorne punktualnie uiszczał, mimo, iż krizis finansowa uniemożebnia moje wysilenia — otoż ten gospodarz, wystaw sobie panie hrabio, o tyle był bezczelnym, że zagroził mi pewną zbyt drażliwą operacyą, którą zwiemy zwykle: wyrzuceniem na ulicę. Pobiegłem szukać rady u pewnego prawnika, — lecz ten nie chce mi jej udzielić z powodu, że rada — jak to mówią — kosztuje.

EDWARD (*na str.*)

Rozumiem, do czego to zmierza. Więc to po prostu industrya tego pana... Pojmuję teraz tę przyjaźń — (*głośno*) Pańska uwaga słuszną zupełnie. Dobra rada kosztuje... ale musi być — dobra. Położenie pańskie obeszło mnie. Jeśli pan zechcesz przyjąć mały zadatek mojej wdzięczności — i zaspokoić nim nieludzkiego gospodarza — (*podaje mu banknot*).

FABRYCY (*chowając go w pugilares, z zimną krwią*).

Dziękuję... (*na str.*) To co innego.

EDWARD (*rzucając się wygodnie w krzesło i zapalając sygaro — zmienionym tonem*).

Teraz przystąpmy do rzeczy — Czekam rady.

FABRYCY (*na str*)

Zapłacił — lecz siedzieć nie prosi... Arystokrata! — (*głośno*) Henryk jest gorącym mości hrabio — Ekstrawagancye jego doprowadzić mogą łatwo do rezultatu, któryby nie bardzo panu hrabiemu był na rękę. Jeśli zależyć musi panu hrabiemu na zerwaniu tego związku, to nie taję mego przekonania, iż to ze strony Henryka jest niemożebnem. Henryk nie wyrzecze się tej miłości. Należy więc postarać się, aby zerwała druga strona...

EDWARD.

Jakto?

FABRYCY.

Jeśli syn pana hrabiego nie da się zmusić do ustąpienia — potrzeba, aby ona... dom mu swój wypowiedziała.

EDWARD.

Kto? — Ona? — Ta aktorka?

FABRYCY.

Ona sama.

EDWARD.

I pan sądzisz, że kobieta, która raz się otarła o kulisy, wypuści z rąk swych złoconego ptaszka, który sam wlatuje w jej sidła?

FABRYCY.

Byłaby na to rada.

EDWARD.

Mów pan — mów!

FABRYCY.

Czy hrabia zdecydowałeś się nie szczędzić kosztów?

EDWARD.

Niech kosztuje co chce, bylebym wyrwał Henryka z tych szatańskich sideł!

FABRYCY.

A gdybyś pan hrabia poszedł do niej —

EDWARD.

Ja — do niej?

FABRYCY.

I zaproponował ustępstwo za ustępstwo?

EDWARD.

Po prostu — zapłacił?

FABRYCY (*zimno*).

Zapłacił.

EDWARD.

Rada nie zła. — Dziwię się, że mi to zaraz na myśl nie przyszło.

FABRYCY (*na stronie*).

Jeśli się uda, więc i jej przeszlę rachuneczek. — Nie uda się — zrobiłem swoje...

EDWARD.

Tak, tak, to rzecz prosta — naturalna.

FABRYCY.

Pięć tysięcy...

EDWARD.

Dam!

FABRYCY.

Dziesięć —

EDWARD.

Dam!

FABRYCY.

Choćby przyszło — piętnaście...

EDWARD

Nie zawaham się ani chwili.

FABRYCY.

Więc służę panu hrabiemu. Ona teraz jest w domu niezawodnie.

EDWARD.

Tak — tak, Henryk uratowany! pójdź pan... prowadź mnie... prowadź do tej a k t o r k i! (*wychodzą — hrabia dumnie, nie spoglądnąwszy na Fabrycego, — Fabrycy za nim*).

ZMIANA.

Scena 7.

MARYA — BARON.

BARON.

Powtarzam Ci, piękna pani, że upor Twój w tym tylko razie byłby mi zrozumiałym, gdyby serce twoje wolnem już nie było.

MARYA

To co u pana zowie się uporem, u mnie nazywa się zasadą; zresztą nie wiem, do czego zmierzają te słowa?

BARON.

Zmierzają one do tego, co się tu dzieje od niedawna. Młody hrabia, który od pierwszego wejrzenia wcale mi się nie podobał — zająć Cię, pani umiał niepoślednio, jeśli mu nie wzbraniasz codziennym być u siebie gościem.

MARYA.

Wyjaśnijmy raz tę sprawę, panie baronie. Sądzę, że przyjmowanie lub nieprzyjmowanie osób w moim domu zależyć tylko może od mojej woli... Prawa Tobie przysługujące dlaczegoż nie miałyby przysługiwać i hrabiemu? Mogę Ci zaręczyć baronie, że i tobie nie wzbronię odwiedzać mnie, jeśli ci na tem tyle zależy, tak długo, dopóki nie przestąpisz granic przyzwoitości, a zbliżasz się do nich, baronie, robiąc mi wyrzuty, do których nie masz żadnego prawa.

BARON.

Ja go nienawidzę, pani.

MARYA.

Czyliż ta nienawiść i na mnie zaraz przelać się musi? Nie wątp pan, że chwila, w której ktokolwiekbądź zapomniećby miał winnego kobiecie szacunku — byłaby ostatnią chwilą naszej znajomości. Zresztą czyż nie jesteś pan wolnym?

BARON

Rozumiem Cię pani Chcesz powiedzieć, że wolno mi zaprzestać moich odwiedzin. Powiedzenie dość cierpkie. Czy pani wierzysz, że jestem zazdrosny?

MARYA.

Nie zostawiałam panu nigdy żadnych nadzieji i nie upoważniałam Go nigdy do praw jakichkolwiek.

BARON.

Pani jesteś pierwszą kobietą, która mi się sprzeciwia do ostatniej chwili — A jednak co dawniej Pani czyniłaś z nieokreślonych powodów, dziś czynisz to dla wymarzonych tylko Mogę panią zapewnić, że mylnie zapatrujesz się na całą rzecz i na fałszywych opierasz się podstawach.

MARYA.

Stajesz mi się pan niezrozumiałą zagadką.

BARON.

Rozwiązanie jej da się dopełnić kilku słowy. Pani nie chcesz być kochanką barona, bo myślisz zostać żoną hrabiego.

MARYA (*wstając obrażona*).

Mój panie!

BARON (*podnosząc się z krzesła — zimno*).

Daruj mi pani — obrazić cię nie chciałem i byłoby to bardzo niepolitycznie z mej strony. Ja chcę Ci tylko oczy otworzyć, piękna Maryo! Ulegasz złudzeniu. Gdyby młody hrabia mógł ci los zapewnić, a przytem ofiarował ci serce i rękę, pierwszy powiedziałbym: ona ma słuszność, iż odrzuca serce i pugilares barona dla serca, pugilaresu i ręki hrabiego. Lecz młody hrabia daleko mniej ofiarować Ci może, niż to czyni baron. On ci tylko serce ofiarować może — nic więcej.

MARYA (*na str.*)

Co za cynizm w tym człowieku...

BARON.

Młody hrabia nie jest jeszcze pełnoletnim. Będzie nim wprawdzie w krótce — ale do tego

czasu ulegać musi ojcowskiej władzy. Nie zapoznaję szlachetnych uczuć tego nowego pani Cicisbeja, ale między niemi, a ich zrealizowaniem, leży przepaść — niemożliwość...

MARYA.

Czy już skończyłeś, baronie?

BARON.

Nie jeszcze, pani. Chcę rozwiać wszystkie twoje mrzonki. Hrabia Edward wie już o wszystkiem.

MARYA (*wzdryga się*).

Ah —

BARON.

Tak jest, pani; wie już o wszystkiem — Pani drżysz?

MARYA (*wymijając*).

I któż tak prędko przysłużył się hrabiemu?

BARON.

Ja.

MARYA.

Ah, pan...

BARON.

Nie przebieram w środkach, aby usunąć wszystko, co mi w drodze stoi

MARYA.

Jesteś pan nadto otwartym, baronie...

BARON.

Hrabia Edward nie omieszka zaszczycić miasta naszego swoją bytnością.

MARYA (*bezmyślnie*).

Tak pan sądzisz?

BARON (*z naciskiem*)

Hrabia Edward jest już tutaj.

MARYA (*na str.*)

Edward tu!

BARON.

Cóżto? Pani się słaniasz — bledniejesz?... A więc pani przecież tak bardzo na tem zależy!

MARYA.

Mości baronie... w mojem sercu znajdziesz tylko rozpacz, żal i wspomnienie. Innego uczucia

nie znam — i znać nie chcę — nie chcę... Sądzę, żem pana zadowolniła moją odpowiedzią — Żegnam Pana! (*odchodzi otrętwiała na lewo*).

Scena 8.

BARON (*sam*).

A — tego już za wiele. Dumna aktoreczko! Więc to są owoce wszelkich moich zabiegów? Sądziłem się tak bliskim celu! Dobrze ci, baronie, nie trzeba było bawić się w zakochanego studenta. Teraz wyśmieją mnie ci, którzy ten koniec przepowiadali mi zawsze. Tak byłem pewnym!... Hm — Jakby tu usta zamknąć kochanym naszym paniczom? Zapewniać, że mnie Marya nie obchodziła — to na nic się nie przyda. Całe miasto wie, że tu bywałem. — Zblamowałem się... Potrzebaż było zapewniać ich, że wywiozę ją do siebie, na wieś? — A gdyby też postawić im dowód, że kto inny więcej mnie zajmował? Hm — To byłoby dość zręcznie. Ale kto?...

Scena 9.

BARON — EMILIA.

EMILJA.

Ah — otóż i pan baron!

BARON (*na str.*)

A gdyby też... Spróbujmy! — (*głośno*) Cóż to za szczególny przypadek zawsze nas razem sprowadza? Jakżem mu wdzięczny..

EMILIA.

Gdybym nie wiedziała, żeś baronie złośliwym, gotowabym uwierzyć, że ci to bardzo wielką sprawia przyjemność.

BARON.

A gdyby tak było w istocie?

EMILIA (*uderzając go po ręku*).

Pochlebca! Ale mówmy o czem innem... Baronowi nie wolno prawić komplementów.

BARON

W tym względzie zawsze czułem się wolnym.

EMILIA

A twoja miłość, baronie? Kochasz się — a udajesz niewiernego.

BARON.

Ja nie lubię kochać się — ja lubię być kochanym.

EMILIA.

Doskonałym nieraz jesteś baronie z twoją otwartością. Gdyby dowiedziała się Marya, że takie rozwijasz teorye...

BARON.

Marya? O której Maryi pani mówisz?

EMILIA.

A cóż to? Czy żartujesz ze mnie baronie?

BARON.

Nie — zupełnie nie. Ja tyle znam Maryj...

EMILIA (*na str.*)

Aha!... Tu coś zaszło...

BARON.

Żart na bok, piękna Emilio. Co było dawniej, o tem nie mówmy. Jeśli miałaś pani koleżankę twoją na myśli, to dziś o nic więcej dla niej posądzać mnie nie można, prócz o kurtoazyę...

EMILIA.

Co mówisz baronie! Więc ten stosunek..

BARON.

Zerwany.

EMILIA.

Czy — Marya?...

BARON.

Nie — j a go zerwałem. Takie stosunki tylko m y zrywać sobie pozwalamy.

EMILIA.

Proszę — któżby się był spodziewał!

BARON.

Pani sądziłaś, że do grobowej deski bawić się będę w paladyna z Manszy walcząc z wiatrakami?

EMILIA.

Uszczypliwym jesteś Baronie.

BARON.

To także prawda — ale nie mniej jest prawdą, że serce moje nie ze stali i nie z asbestu...

EMILIA (*na str.*)

O baronie... (*głośno*) Co do tej kwestyi, dopiero teraz przekonać się będzie można...

BARON

Jakto?

EMILIA.

Zobaczymy, jak długo serce barona nosić będzie żałobę.

BARON.

Moja pani, ja zwykłem żałobę nosić tylko na kapeluszu.

EMILIA.

Fe — Jesteś pan strasznie zepsuty.

BARON.

Ja? Ja nigdy nie byłem zarozumiałym na moje cnoty.

EMILIA.

I pan ze swojemi teoryami nie obawiasz się, że cię unikać — że ci wymijać będą już z daleka — nie obawiasz się, że mężczyzni wspominać będą Twoje imię tylko ze zgrozą — a kobiety lękać się będą spojrzeń Twego oka?

BARON.

Zupełnie nie, pani. Jestem o to spokojny.

EMILIA.

A to dlaczego?

BARON.

Bo — mam pieniądze.

EMILIA.

Ah! — *(na str.)* Z tem wszystkiem on jest trochę impertynenckim; ale otwartość ta podoba mi się.

BARON *(po chwili)*

Czy pani mnie znasz?

EMILIA.

Na coż to pytanie?

BARON.

Czy pani wiesz, że niczego nie lubię obwijać w bawełnę?

EMILIA *(śmiejąc się)*.

Ah — o to pytać się nie potrzebujesz...

BARON.

Znałem raz pewnego — barona... Baron ten był zepsuty — złośliwy... Obawiano go się wszędzie.—Nudził go świat — a on nudził drugich.

EMILIA *(śmiejąc się)*.

Początek jakiej indyjskiej opowiastki. Daguerotyp uderzającego podobieństwa.

BARON.

Skorzystałaś już pani na złośliwości przez obcowanie ze mną. Pani uczynisz z czasem jeszcze większe postępy. Lecz do rzeczy... Baronowi owemu podobała się pewna aktorka, której było Marya na imię — ale Maryi nie podobał się adonis, któremu było baron w przydomku. — Baron bawiąc się w lisa przekonał się, że winogrona były kwaśne — a on przepadał tylko za słodkiemi winogronami.— Czy wiesz pani, co baron uczynił?

EMILIA.

Zapewne rzuciwszy kwaśne winogrona —

BARON.

Poszedł szukać słodkich. — To jest zupełnie naturalnem.

EMILIA.

A cóż za morał z tej przypowiastki?

BARON.

Baron nie szukał morału — tylko słodkich winogron; a co ważniejsza — znalazł je.

EMILIA.

Ah!

BARON.

Nieopodal leżała majętność barona. Nazwał on ją „Rajem“ — gdyż raj nie mógłby być ponętniejszym. Był tam i park cienisty z nieodzownemi świątyniami dumań — była i sadzawka przezrocza, krzyształowa, z wenecką gondolą i śnieżnymi łabędziami. Brak tylko było Romea i — Julii. Baron chciał być Romeem — Julii tylko brakowało.

EMILIA (*na str.*)

Filut...

BARON.

Czy zabawiłem panią moją przypowiastką?

EMILIA.

Czy zrozumiałam ją dobrze baronie?

BARON.

Ja opowiadałem. Zrozumienie do p a n i należy. Sądzę jednak, że opowiadam dość zrozumiale — dla tych, co chcą zrozumieć.

EMILIA.

Tak mniemasz, baronie?

BARON.

Żegnam panią. Apropòs... Biedny Fabrycy!

Wczorajszej nocy przegrał znaczną, jak na niego, kwotę... (*kłania się*) Do widzenia W młodości zwano mnie małym szatankiem. (*wychodzi*).

EMILIA (*sama*).

Prawdziwy szatan... Fabrycy zrujnowany... Co za dziwny człowiek z tego barona! — (*zamyślona odchodzi na prawo*).

Scena 10.

MARYA (*wchodzi z lewej*).

Wyszedł przecie. — Rozmowa jego z Emilią była tak wesołą... O — głos tego człowieka i śmiech jej wydaje mi się echem pogrobowych dzwonów... (*po chwili*) Więc Edward jest tutaj... Przyjechał po syna... I z jakiemże czołem stanie przedemną matki mej morderca — ten, który spokój mej duszy na zawsze pogrzebał, który we mnie piekła rozniecił żary?! Czuję, że go nienawidzę, nienawidzę tak silnie, jak go dawniej kochałam... (*po chwili*) Biedny Henryk! Jakże mnie słodko myśl ta upajała, że jest przecie ktoś na obszernym świecie, który mnie pojmuje... A jednak żal ściska mi serce, gdy rozważę — do jakiego stopnia wzrosła jego namiętność, mimo, iż, Bóg świadkiem, nie podniecałem jej... mimo, iż zawsze od-

powiadałam na gorące jego zaklęcia — zimnemi słowy przestrogi... A jednak wytłumacz mi się serce moje, dlaczego nie miałoś siły i odwagi odepchnąć go od siebie? Ale nie — nie... Nie badajmy nawet tego serca, boleścią i rozpaczą wyssanego... Milcz zdeptany robaku — ty nie możesz, nie powinieneś kochać nikogo... Niech się i to raz skończy.. Pocóż łudzić się ciągle a daremnie...

Scena 11.

MARYA — EDWARD — FABRYCY (*pokazuje u drzwi hrabiemu w milczeniu Maryę i przymykając drzwi, znika*).

MARYA.

Ha — to on.. Baron mówił prawdę. (*chwiejąc się odwraca się i opiera o poręcz kanapy*).

EDWARD (*na str.*)

Więc to ta dama. (*zbliżając się — głośno*) Pani wybaczysz, że jakkolwiek zupełnie jej nie znany, ośmielam się wdzierać w ten sposób do jej pomieszkania... Mam jednak do tego tak ważne powody... (*na str.*) Milczy — nie uznaje mnie nawet godnym jednego spojrzenia. (*głośno*) Sądzę, że usłyszawszy nazwisko moje, wytłumaczysz sobie

powód mojego przybycia. (*na str.*) Zadrżała. — (*głośno*) Jestem hrabia Edward Żmudzki. Pani nie raczysz uszczęśliwić mnie widokiem swojej twarzy? Sądzę przecież, że jako ojciec mam prawo poznać gust mojego syna.

MARYA (*odwracając się ku niemu*).

Mości hrabio — Chciałeś mi się przypatrzyć— Oto mnie masz...

EDWARD (*rzuciwszy sobą przerażony*).

Co to jest? Czy piekło łudzi moje zmysły?

MARYA.

Nie wspominaj piekła, panie hrabio, abyś nie przypomniał Niebu godziny sprawiedliwości.

EDWARD.

Ona! — To nie złudzenie! — To Marya.

MARYA.

Tak jest, Marya; którą pan zniesławiłeś — którą uczyniłeś sierotą i rzuciłeś w odmęt nędzy i rozpaczy...

EDWARD (*na str.*)

Fatalne spotkanie!

MARYA.

Żądałeś pan mego widoku; dlaczegoż spuszczasz teraz oczy ku ziemi?

EDWARD (*na stronie*).

Zimnej krwi, hrabio.

MARYA.

Pan milczysz?

EDWARD

Niespodziewanie zeszły się nasze drogi... Nie mogłem tego przewidzieć... Zastało mnie to tak nieprzygotowanego... Czuję się być wzruszonym..

MARYA.

Pan — i wzruszony!

EDWARD (*na str.*)

Jak tu zacząć? Przeklęcie... (*głośno*) Bolesnem dla mnie jest to spotkanie... Ale cóż? Los zarządził inaczej, niż pani mogłaś się spodziewać... Dziś stosujmy się przedewszystkiem do rzeczywistości; marzenia przeszły i minęły bezpowrotnie. Uspokój się pani. To, co się stało, odstać się nie może...

MARYA.

Filozofia nigdy pana nie opuszcza.

EDWARD

Byłem występnym — nie zaprzeczam; ale ja wtenczas tak Ciebie kochałem! (*Marya śmieje się spazmatycznie*). Tak jest, kochałem Cię pani...

MARYA.

Czy po to tutaj przyszedłeś, abyś mi przypominał dawną szlachetną twoją miłość?

EDWARD.

Nie po to przyszedłem pani — ale jeśli już widzimy się z sobą, niech mi wolno będzie zapytać panią w kwestyi, która mi bezsenne sprawiała noce — mąciła spokój sumienia..

MARYA.

Spokój sumienia!

EDWARD.

Pani, co się stało z...

MARYA.

Szlachetny ojciec! Przypomniał sobie i taką błahostkę!

EDWARD.

Czy żyje, Maryo — czy żyje?

MARYA.

Nie obawiaj się hrabio; Bóg jest sprawiedliwy. On zsyłając cierpienia na winnych, umie ochronić od nich tych, co nic nie zawinili. Bądź spokojnym czuły ojcze. Nie będzie cię ścigać widok biednej sieroty bez imienia. Nieprawdaż hrabio — to by ci zepsuć mogło dobry twój humor?

EDWARD.

Więc nie żyje...

MARYA.

Nie żyje... Cios zadany mi przez pana udzielił się i ofiarze twej podłości i obudził miłosierdzie Niebios... Bóg ulitował się i zabrał ją do siebie, zanim ujrzeć mogła wybladłą i cierpieniami zoraną twarz nieszczęśliwej Maryi.

EDWARD (*na str.*)

Ciężar spadł mi z piersi—teraz wystąpić mogę energiczniej... (*głośno*) Maryo — zapewniałaś mnie dawniej o twojej miłości bez granic — i dziś, dziś mogłaś dopuścić się podobnego występku, o jaki cię oskarża ojcowskie serce moje!

MARYA (*pogardliwie*).

Panie Hrabio!

EDWARD.

A jednak pamięć w tobie wielce wytępić musiała, jeśli niepomna przeszłości ojca, porywasz mu syna... Oddaj mi Henryka, Maryo!

MARYA (*wybuchając*).

Ha — Czy zemsty mojej nie obawiasz się, mości hrabio! Nie przyszło ci nigdy na myśl, że zdeptana, bezsilna Marya może zapragnąć zemsty? Nie prawdaż, byłaby to zemsta twojej zbrodni godna? Pan zamordowałeś mi matkę — ja porywam ci syna?!

EDWARD.

Teraz wszystko pojmuję... Zginąłem! (*Marya wybucha spazmatycznym śmiechem*). Biada mi i biada temu biednemu chłopcu! — Miłość zmieniła się w nienawiść — jagnię przemieniło się w hyenę...

MARYA (*po chwili walki — spokojnie*).

A jednak nie zapoznawaj mnie dłużej mości hrabio! — Gdy syn twój dał mi się poznać — był mi obcym zupełnie. Nie wiedząc, kogo los zawistny rzucił na moją drogę cierniową, nauczyłam się cenić go. — O, bo syn twój, panie hrabio, ma serce i szlachetna w niem krew tętni, tak, jak

gdyby nie był twoim synem... Gdy się wszystkiego dowiedziałam, było już za późno... On pokochał mnie całą potęgą młodzieńczej swej duszy... a ja — ja nie miałam siły odepchnąć go od siebie, aby nie ranić tego szlachetnego serca. Wahałam się odjąć mu wszelką nadzieję, jak wahają się choremu udzielić wiadomości złowrogiej. Syn twój, panie hrabio, nie usłyszał z ust moich nigdy więcej, nad to, że tylko w kobiecie serce przeważa głowę.. U mężczyzny rozsądek powinien kierować sercem... Starałam się odwieść go od tej nieszczęśliwej namiętności. — Daremnie... Teraz, gdy wiesz już wszystko, hrabio —

EDWARD (*zrywając się*).

O ja wiem, żeś ty szlachetną, Maryo! (*chce ująć ją za rękę*).

MARYA (*odwracając się*).

Nie pochlebiaj mi pan. Pochlebstwo z ust twych brzmi w moich uszach jak szyderstwo i urąganie. O nie natrząsaj się z nieszczęśliwej, która nic wam nie zawiniła!

EDWARD.

Milczę, gdy tego pani żądasz. Czuję, że słowa na nic by tu się nie przydały. Dziękuję tylko

losowi, że tak zdrowo pozwala ci się rozpatrzeć w tej sprawie. Bo rozważ tylko, cóżby was czekało? Przypuszczam, że syn mój wbrew ojcowskiej woli wytrwałby stale w szalonym zamiarze — lecz ty, Maryo, czy byłabyś w stanie oddać Henrykowi serce twoje, które pierwej do jego ojca należało?

MARYA.

O przestań pan, przestań! — Rozrywasz niezabliźnioną ranę... Nie, nie. Bądź pan spokojny; ja go nie kocham — kochać nie chcę i nie mogę...

EDWARD.

Dobrzeż więc Maryo — dopełnij twego przedsięwzięcia. Zakończ z godnością całą tę sprawę — uczyń, czego wymaga po tobie spokój nas obojga i mojego syna. Wypowiedz mu dom swój i ulecz szalonego; zwróć go na drogę obowiązku.

MARYA.

O jak pan umiesz teraz odwoływać się do obowiązku! — Będę ci posłuszną, hrabio. Syn twój dowie się z ust moich, czego wymagasz odemnie. Ale w zamian — nie dobijaj pan nieszczęśliwej. Zachowaj w głębi piersi tajemnicę naszej przeszłości. On był dla mnie tak dobrym... tak szla-

chetnym.. Onby nie mógł zrozumieć, że mogę być występną, a nie poczuwać się do żadnego występku, prócz słabości... Niech pamięć na mnie, na tę chwilę młodzieńczej jego miłości pozostanie dlań czystą i świętą — niech mną nie pogardzi... Panie hrabio, wszak mam prawo wymagać tego od — Ciebie!

EDWARD.

Możesz być pani spokojną...

MARYA (*niespokojnie*).

Słyszysz pan, słyszysz? — To głos Henryka.

EDWARD.

Daruj pani, że w domu twoim rozporządzać sobie pozwoliłem. Bałem się, aby nagłe przybycie syna nie przerwało rozsądnej naszej rozmowy, dlatego poleciłem twojej słudze, aby nikogo nie wpuszczała.

MARYA.

O — pan zawsze i wszędzie jesteś przezornym, panie hrabio.

SŁUŻĄCA (*wchodząc*).

Pan hrabia koniecznie prosi o chwilkę rozmowy.

MARYA

Przeproś — przeproś... Jestem bardzo cierpiącą.

HRABIA (*do Maryi z cicha*).

O nie... Teraz nie obawiam się jego obecności. Przeciwnie — ona jest tu niezbędną. (*do sługi*). Proś pana hrabiego. (*sługa wychodzi*) Niech w mojej obecności, dowie się z ust twoich pani, że nic mu nie pozostaje, tylko powrócić na drogę synowskiego posłuszeństwa.

Scena 12.

CIŻ I HENRYK.

HENRYK (*na str.*)

Nie omyliło mnie przeczucie... (*przystępując do Hrabiego*) Ojcze — Ojcze.. Dlaczego cię tutaj znachodzę? — Mieliśmy się u siebie rozmówić...

EDWARD

Znachodzisz mnie tam synu, gdzie mnie ojcowski wzywa obowiązek.

HENRYK.

Twoja zimna krew przeraża mnie... Spojrzyj

na nią Ojcze; przypatrz się tej postaci boleścią złamanej, tej twarzy cierpieniem wybladłej — i powiedz, czy i to jeszcze nie jest dość wymównem?

MARYA.

Bądź pan o mnie spokojnym... ja nie cierpię...

HENRYK (*wlepiając wzrok w ojca*)

Czy dlatego tak pani mówisz, że mój ojciec tego wymaga?

EDWARD.

Zkądże to przypuszczenie?

HENRYK.

Mam to przekonanie ojcze, że jeśli ciebie tu znachodzę, nie stało to się bez przyczyny. O ja cię znam ojcze, i boję się ciebie...

MARYA.

Panie Henryku!

EDWARD.

Nie drażnij mnie. Jeśli chcesz, aby z tobą postępowano jak z żakiem, więc słuchaj: Przyszedłem tu, aby zapytać tej pani, dlaczego wyparłeś się ojca i rodziny — A jednak inną znalazłem tu

odpowiedź, jak się jej spodziewać mogłem. Nikt od ciebie nie wymaga tu niczego — ta pani uwalnia cię od wszelkich zobowiązań... tylko twój upór zaślepiać cię może. Chłopcze! Narzucasz się kobiecie, która ciebie nie kocha.

HENRYK.

Ojcze!... I ty jej wierzysz?... I ty bierzesz to za prawdę, co jej tylko dyktuje szlachetność? — O nie... Tobie to ojcze powtarzam i tobie Maryo: Ja kocham — i jestem kochany.

MARYA.

Hrabio jesteś w błędzie.

EDWARD.

Słyszysz?

MARYA.

Wiem panie hrabio, że mnie kochasz, kochasz namiętnie — ale ja — ja tobie nie mogę być wzajemną.

EDWARD.

Słyszysz?

HENRYK.

Słyszę, ojcze — w wyrazie twej twarzy czy-

tam, jak ciebie cieszy to wyznanie — Lecz tam, kędy t w o j a przeszła stopa, tam nie szukam szczerości, lecz lękam się zdrady!

EDWARD.

Szalony! przebaczam ci, bo nie jesteś przy zmysłach.

HENRYK (*chwytając za rękę Maryę, stojącą bez poruszenia, bladą i niemą*).

Maryo! Daremnie ukrywać chcesz przed sobą uczucie, które tobą owładło. Daremnie ironią lub udaną wesołością maskowałaś dotychczas twą miłość... Oczy twoje wymownie zadają kłam ustom. Bezwiednie lub wymuszenie padają z nich zimne twoje słowa..

MARYA (*na str.*)

Boże — miałożby to być prawdą...

HENRYK (*j. w.*)

Czy myślisz Maryo, że u s t a tylko miłość wyznać mogą? Ten kto kocha, zdradzi swą miłość mimowoli — bezwiednie — choćby mu kładziono w usta takie wyrazy, jakie t o b i e w usta włożono! Więc zaprzecz, że ci jestem obojętnym — za-

przecz — gdyż ja ci Maryo powiadam: Ty k o c h a s z!

EDWARD (*z naciskiem*)

Powtórz mu więc pani — coś mi przed chwilą powiedziała.

MARYA.

Panie... panie Henryku... Ojciec pański ma słuszność. — Ja tylko szacunek i litość czuć mogę dla pana... Nie — nie... Ja kochać nie mogę — nie mogę...

EDWARD.

Sądzę synu, że dość się dowiedziałeś.

HENRYK (*zaciskając usta*).

A jeślibym panią spytał: Pani, tyle razy słyszałem z ust twoich, jak ubóstwiałaś pamięć twoich rodziców; przysięgnij mi więc na spokój ich zagrobowy, że mnie nie kochasz — Cóż wtenczas usłyszałbym za odpowiedź?

MARYA (*na str. — chwiejąc się*).

Boże!...

HENRYK.

Przysięgnij Maryo — jeśli możesz to uczynić — przysięgnij!

MARYA (*na str.*)

Ha — więc ja lękam się tej przysięgi?! Cóż to za odkrycie uczyniłam na sobie... Boże, ulituj się nademną!

HENRYK.

Pani milczysz...

EDWARD (*na stronie*).

Przeklęcie — wszystko stracone...

MARYA (*słabo*).

Uwolnij mnie pan od tej przysięgi...

HENRYK.

I ty jeszcze wątpisz o twojej miłości?

EDWARD (*z naciskiem*).

Henryku — jeśli chcesz oszczędzić sobie i jej boleści — odejdź ze mną — wyjedziemy.

MARYA

O jedź — jedź panie hrabio! Błagam cię!

HENRYK.

Właśnie teraz honor mi każe pozostać. Przekonałem się, że Marya mnie kocha.

EDWARD (*groźnie*).

Henryku! — nie wywołuj g r o m u z ust moich!...

MARYA (*na str.*)

Boże... miałżeby ten nędznik... (*urywa*) Panie Henryku, jeśli to prawdą, że mnie tak kochasz, jak powiadasz — uczyń mi ofiarę z twej miłości i unikaj mnie, jeśli nie chcesz zadać mi ostatniego ciosu...

HENRYK.

Ja, pani? Ja mam się wyrzec mojej miłości? — Nigdy!..

EDWARD.

Dobrzeż więc. — S a m tego chciałeś. Jeśli żądasz, aby kochanka twego ojca stała się żoną twoją — więc bierz ją sobie!

MARYA (*padając*).

Podły!

HENRYK (*okropnym głosem*).

Maryo!... (*stoi chwilę martwy — potem z okrzykiem boleści wybiega jak szalony*).

EDWARD,

Lekarstwo było skuteczne... (*wychodzi*).

(ZASŁONA SPADA).

AKT V.

(Pokój Maryi jak w IV akcie, zmianie II.)

Scena 1.

(*wchodzą*) Bobek — Goliat.

GOLIAT.

Powiadam ci, Dyrektorze, że noc całą spać nie mogłem. Wczoraj wieczorem wracając do siebie, spojrzałem z ulicy w okno Maryi. Świeciło się u niej, choć było już dobrze po północy... Serce mi uderzyło jakiemś złowrogiem przeczuciem... Stanąłem.. Wtem w oknie zjawiła się postać niewieścia — raczej cień niewiasty. Była to Marya. Włos jej rozwiany podnosił jeszcze straszny wyraz jej twarzy. Oczy jej w ciemności nocy gorzały gorączkowym ogniem. Z piersi jej tłumione dobywało się łkanie. Dyrektorze — powtarzam ci — ona musi ciężko być chorą.

BOBEK.

Ależ synku kochany — ona często zwykła była nocami oddawać się smutkowi i żałości.

GOLIAT.

Widziałem ją nieraz w takim stanie — ale dzisiejszej nocy widok tej nieszczęśliwej przeraził mnie. — Dyrektorze — ty znasz jej tajemnicę — gdyż ty jeden odważałeś się ją pocieszać — powiedz mi, czy Marya nigdy nie znajdzie spokoju?

BOBEK.

Ciężkiemu uległa ona nieszczęściu — ale — synku panie — nie mówmy o tem..

GOLIAT.

Słuchaj Dyrektorze. Ja jestem karciarz, szuler; jestem próżniak, lekkoduch. Nie wart jestem rzemyka rozwiązać u stopy tej kobiety — ale gdybym poznał tego, który jest łez jej przyczyną — Dyrektorze, pioruny niech mnie spalą, jeślibym mu karku nie ukręcił.

BOBEK (*ociera łzę*).

Ciszej! Subordynacya — synku panie. Ona pewnie spoczywa po tej strasznej nocy.

GOLIAT (*uderzając się po ustach*).

Milczę. (*na palcach idzie ku drzwiom na lewo*) Zapewne spi — (*zagląda przez dziurkę od klucza*) Nic nie słychać... Odejdźmy...

BOBEK.

Nie, nie.. Ja tu zostanę. Zaczekam, aż się obudzi.

GOLIAT.

Zostań - że, dyrektorze. Ja nieopodal ulicą przechadzać się będę. Jak tylko się obudzi, wyjdź mi dać znać, czy niema jakiego niebezpieczeństwa. Pioruny niech mnie spalą —

BOBEK (*dając mu znaki*).

Pst!

GOLIAT.

Już idę. (*wychodzi*).

Scena 2.

BOBEK (*sam*).

Biedna... Kiedyż ją szczęśliwą obaczę?.. O— synku panie — mieć ją przed oczyma zawsze podobną do więdnącego kwiatu, uszczkniętego bezlitośną ręką — to boli... Te noce bezsenne dobiją

ją... Żebym mógł ją rozerwać... Jedna sztuka podtrzymuje zapał jej ducha.. Trzebaby zająć ją jaką nową rolą... (*dobywa zwoju papierów*) Zachwycała się zawsze rolą nieszczęśliwej Ofelii... Niech więc ją zagra... Wprawdzie spłacze się, ale — subordynacya — zajmie jej to przynajmniej z tydzień czasu — — — Cicho — Zdaje mi się — ona nadchodzi...

Scena 3.

Bobek — Marya (*wchodzi z lewej — blada — z rozpuszczonym włosem — wzrok chwilami obłąkany*).

BOBEK.

Maryo — dziecię moje kochane, — cóż ci to?

MARYA.

Nic — nic — przepędziłam noc okropną... Straszliwe obrazy nękały moją duszę... Powiadają ludzie, że są gdzieś na świecie wampiry, które uczepiwszy się piersi swych ofiar wysysają z nich krew... O żebyś mógł ojcze rozedrzeć mi piersi i spojrzeć w głąb serca — znalazłbyś tam ranę podobną, jakie zadają wampiry.

BOBEK.

Dziecię moje...

MARYA.

Jakby we śnie widziałam białą gołąbkę swobodnie i wesoło szybującą po niebios przestworzu. Towarzyszył jej ptak piękny o szlachetnych barwach. Gołąbka rozpromieniona rozkosznie zawierzyła śmiałemu lotowi towarzysza i uleciała z nim daleko... daleko... Wtem nagle ten przemienia się w czarnego wampira... Rzuca się na biedną ptaszynę, powala o ziemię i z szatańską chciwością rozdarłszy niewinne jej łono — wysysa krew jej serdeczną.. Nasyciwszy się — uleciał.

BOBEK.

Uspokój się, Maryo!

MARYA.

Na trawniku zielonym, wśród woni kwiatów polnych i wabienia słowików leżała biedna ptaszyna — wpółumarła — z zakrwawionem łonem. I nadeszli ludzie, kochani ludzie — spojrzeli na nią obojętnie i przeszli.. I nadeszli drudzy... Ci rzucili kilka słów udanego współczucia — lecz oczy ich śmiały się szydersko, a z pod powiek ich błyskał ogień złowrogi... I nadeszli jeszcze inni — a ci zawoławszy: „podła!“ — przeszli po niej depcąc i plwając... Plwali!..— słyszysz stary? Plwali

na nią — a wytłumacz mi, wytłumacz — dlaczego?

BOBEK.

Sen mara, Bóg wiara. Uspokój się.

MARYA.

O jam spokojną.. Do dzisiejszej nocy byłam przepełniona goryczą, gdyż przesiąkłam nią, jak naczynie przesiąka trucizną, która się wpija w jego ściany. — Noc ostatnia przekonała mnie, że więcej mam siły, niżbyś sądził, stary... Wczoraj, jeszcze chwiejna i wyczekująca coraz to nowych gromów — dziś wyzywam je — gdyż uzbroiłam się w odwagę i spokój owych gladyatorów, których hasłem była — śmierć.

BOBEK.

Ej — dziecię moje — prawisz tak dziwnie — przerażasz mnie —

MARYA.

O — ja sama lękam się siebie — Tak mi straszno...

BOBEK.

Maryniu moja, sierotko moja, — znam twoją przeszłość — wiem coś przecierpiała — lecz w tych dniach coś okropnego uderzyć musiało w twoje serce!

MARYA (*obłąkano*).

Ojcze — czy widziałeś — jego?

BOBEK.

Jego? — Kogo, Maryo?

MARYA.

Wampira?!!...

BOBEK.

Gorączkowe dręczą cię widziadła...

MARYA.

O nie, nie! — On tu był, był u niej, w tym pokoju... Zjawił się jak zwiastun śmierci — poprzedzał go szatan urągania, a za nim szła blada śmierć... I znowu rzucił się na bezbronną i rwał jej serce w kawały — rwał dziobem i szponami. I nadszedł z ludzi najszlachetniejszy — jedyny, wierny jej przyjaciel — — ten nie potrącił jej nogą — lecz spojrzał na nią raz jeden — przeciągle — — a w tem spojrzeniu leżała — pogarda!

BOBEK.

Kto tu był — Maryo? — Nie rozumiem ciebie!

MARYA (*słabo*).

Edward.

BOBEK.

On tu? — U ciebie? — Ha, teraz pojmuję stan twojej duszy... I czegoż ten nędznik żądał od ciebie?

MARYA.

Syna żądał — syna, słyszysz? — A jam go mu nie wydarła, nie wydarła!

BOBEK.

Co słyszę, Maryo — więc ten młodzieniec...

MARYA.

To jego — syn!

BOBEK.

Wielki Boże! Nieodgadnięte są twoje wyroki! — O biedne dziecię moje — — — (*płacze, zakrywszy twarz rękoma*).

MARYA.

Nie płacz ojcze, nie płacz. Ja się wkrótce uspokoję -- uspokoję tak, że nic nie przerwie tego spokoju — ani grom niebios — ani chichot piekła — ani łza w twojem poczciwem oku...

BOBEK.

Maryo! Co zamyślasz uczynić? Jakiż ton twojego głosu!...

MARYA.

Struna, gdy pęka — jęczy przedtem chwilę — bo żal jej, że to jej dźwięk łabędzi — ostatni... Lecz gdy raz pęknie, żadnego nie wyda więcej dźwięku... Jęcząc... chwyta za serca tych, co mają serca — lecz gdy raz pęknie, to tak potem cicho — taki spokój, że ci, co mają serca — zapomną,... a ci, co ich nie mieli, powiedzą: Chwała Bogu — że się już skończyło! (*Bobek zakrywa twarz*) Nie płacz stary, nie płacz... Albo raczej płacz za mnie i za siebie — bo mnie już łez nie starczyło... Spojrzyj — ja nie płaczę...

BOBEK.

Córko moja!

MARYA.

Córką mnie nazywasz — to dobrze.. To tak miło słyszeć ten wyraz słodki.. Ja go tak dawno nie słyszałam! — Lecz lepiej zwiej mnie sierotą, boś ty jeden przygarnął mnie do serca — a to tak boleśnie być samą na obszernym świecie...

BOBEK.

Pozwól — pobiegnę po lekarza.

MARYA.

Dla mnie lekarza? Nie potrzeba mi lekarza.

Jeśli kto chory — wtenczas wzywają lekarza; a ten zapisze lekarstwo i chory się podnosi... Ale ja nie jestem chorą. — Na moją chorobę znam także bardzo skuteczne lekarstwo.. przekonasz się... bardzo skuteczne...

BOBEK.

Maryo — przeczuwam coś okropnego — o jak się to zakończy!

MARYA.

Nie bój się ojcze, zakończy się tak, że ty będziesz spokojnym i ja będę spokojną, spokojniejszą od ciebie... Lecz mam prośbę do ciebie...

BOBEK.

Rozkaż Maryo — oddam ci życie moje...

MARYA.

O, ja mam mojego życia za wiele — (*dobywa bilet z za gorsu*) Pójdź, oddaj ten list młodemu hrabiemu — oddaj sam — do jego rąk własnych — proś, niech uczyni zadość mojemu żądaniu — powiedz mu, że to prośba moja ostatnia.

BOBEK.

Maryo!

MARYA.

Wahasz się? Wszak to tak mała przysługa...

BOBEK (*zatapiając wzrok w jej oczach*).

Ja lękam się opuścić ciebie.

MARYA (*prosząco*).

Odmawiasz więc?

BOBEK.

Ja? Ja miałbym ci odmówić? — Spieszę. (*biegnie — wraca i przyciska ją do serca — wybiega*).

Scena 4.

MARYA (*sama — po chwili*).

I przeszli po niej depcąc i plwając — i urągali jej nieszczęściu... I on — on zabił ją także swym wzrokiem!... (*po chwili, przychodząc do siebie*) Stało się — on przyjdzie — ten, który mną pogardził, a którego ja... kocham.. Stało się... Mamże wiecznie pozostać kością niezgody między ojcem i synem?... Nie — nie — A jednak, jakże mi straszno — zimno — okropnie! — Natura wzdryga się — głos tajemniczy mi grozi — — (*ociera pot z czoła*).

Scena 5.

Marya — Goliat — Odrobina.

GOLIAT.

Koleżanko — co to znaczy? Dyrektor blady z przerażenia wybiegł od ciebie.

ODROBINA.

Słowa od niego dowiedzieć się nie można prócz tego, żeś bardzo cierpiąca. Co ci jest, Maryo?

MARYA.

Leżała ptaszyna z zakrwawioną piersią wśród wonnych kwiatów i wabienia słowików—i nadeszli, ludzie — i przeszli po niej depcąc i plwając, a usta ich ciskały gromy — i wołali: „podła!“— A powiedzcie mi, powiedzcie dlaczego?

GOLIAT.

Maryo! — (*na str.*) To obłąkanie...

MARYA

A to wy?— Dobrze, żeście przyszli — J e g o jeszcze niema — A zanim o n przyjdzie, czas wyda się tak długim. Samej tak mi straszno — tak zi-

mno... O nie opuszczajcie mnie! — Zostańcie ze mną.

ODROBINA.

Cóż znaczy ten lęk? Miałażbyś się spodziewać czego złego?

MARYA.

O jakaż męka, zanim się spełni moje przeznaczenie..

GOLIAT (*na str.*)

Trzebaby ją rozerwać, zanim przyjdzie lekarz. (*gł.*) Maryo — uspokój się — pogadamy trochę ze sobą.

ODROBINA.

Tak, tak — opowiedz jej co wesołego.

GOLIAT (*biorąc ją za rękę prowadzi do kanapki i sadza. Marya czyni wszystko machinalnie i siadłszy wpatruje się w jeden punkt obłąkano*).

Onegdaj w nocy bawiliśmy się w kasynie wybornie. Kółko nasze było dobrane. Opasły pan burmistrz wodził rej. Rozumie się, nie obeszło się bez maczka. Pudłował biedaczysko, jak nasz pan aktuaryusz, gdy w niedzielę puści się z fuzyjką na zająca. Zgrałem go sromotnie, a gdy już nie miał ani dusia w kieszeni, puściłem go w trąbę.

Zasypał się nieborak — poszedł jak zmyty. Nasz Odrobina za to w wybornym był humorze— (*Odrobina ciągnie go za połę*) Chwycił się butelki, jak tonący brzytwy. Jego nogi wydały oficyalnie walkę głowie. Z początku nogi okazywały wiele cywilnej odwagi —

ODROBINA (*ciągnąc go za połę*).

Ot pleciesz...

GOLIAT.

Ale to trwało nie długo. Wkrótce nogi poczuły wyższość nieprzyjaciela, chociaż ten coraz więcej zwieszał się ku ziemi. Nareszcie szanowna głowa tak zaimponowała wystraszonym nogom, że te opisawszy kilka nie nader symetrycznych kółek zawiodły głowę na bezdroża, to jest — pod stół.

ODROBINA.

Ależ proszę ciebie — uważasz — to jej nie bawi wcale.

MARYA.

Kolego...

ODROBINA.

To już ostatni raz—Nie będziesz miała przyczyny gniewać się więcej na mnie.

MARYA.

Ileż to razy słyszałam z ust twoich tę obietnicę? (*do Goliata*) A ty, kolego, nie dałżeś mi słowo, że zarzucisz nieszczęśliwe karty?

GOLIAT.

Prawda — Maryo.

ODROBINA.

O czuję, jak nisko upadłem... Ale czemuż pierwej Opatrzność między nas ciebie nie zesłała? Był czas, że jedno twe spojrzenie karcące byłoby mnie powstrzymać mogło — dziś zapóźno...

GOLIAT.

Kto wie, czy w istocie nie za późno...

MARYA.

Nigdy nie jest za późno! Prócz wtenczas, gdy tu w łonie leży kawał lodu, ściętego walką między życiem a śmiercią. — U was nie jest za późno — bo wy macie jeszcze serca gorące, nie oziębłe na własną i cudzą niedolę. — Nędza was popycha do ostateczności, gdyż chcecie o niej zapomnieć. Lecz inną powinniście obrać drogę, drogę zaparcia siebie i — pracy. Jesteście artyści. Bóg

dał wam zdolności niezwykłe — od was tylko zależy wznieść się nad mierność i zostawić po sobie pamięć i uznanie...

GOLIAT.

O żeby to siły nasze sprostać mogły chęciom!

MARYA.

Trochę więcej wiary w siebie, kolego—Grzeszycie, zapoznając siebie samych. Powiedzcie sobie tylko: jestem lepszym, jak wmawiam w siebie i drugich, a poczucie godności własnej doda wam siły i odwagi.

GOLIAT.

Niech mnie dyabli porwą, jeśli nie masz słuszności; przekonywujące są twoje słowa. Od dziś stanę się innym człowiekiem; jako prosty zarobnik pracować będę na kawałek chleba, a nie stanę się nigdy apostatą sztuki! — Pioruny niech mnie spalą, jeśli nie wyrobię sobie poszanowania i stanowiska w społeczeństwie! — Przykładem twoim wzbudziłaś we mnie ambicyę — przekonasz się, że umiem dotrzymywać słowa! — *(do Odrobiny)* Odrobina — nie wytrzymam — łzy mi się cisną do powiek. *(wybiega)*.

Scena 6.

MARYA — ODROBINA.

MARYA.

Słyszałeś kolego?

ODROBINA.

Słyszałem... Goliat jest bardzo szczęśliwym, gdyż wiem, że dotrzyma słowa.

MARYA.

A ty mój poczciwy?

ODROBINA.

Ja? — Ja stary grzesznik — bibuła — ja — ja chciałbym — ale ja — nie potrafię (*spuszcza głowę*).

MARYA.

I tobie także tylko c h c i e ć potrzeba.

ODROBINA.

Ja jestem słabym, Maryo — Ja dziś przyrzeknę — jutro się zawaham — a nazajutrz... (*urywa*) Maryo — Co tobie jest? zlituj się nad sobą — powiedz mi, co ci jest?!...

MARYA.

Przeczucie mówi mi, że O n nadchodzi — — O jak szybko lecą te chwile... Kolego — spojrzyj tam — w okno — — czy to nie o n?!

ODROBINA (*biegnąc do okna*).

Kto, Maryo, kto?... Ha.. Młody hrabia.

MARYA.

Stało się.. Pójdź tu, do mnie — podaj mi dłoń twoją... Słuchaj! — Przysięga umierającym uczyniona jest świętą! Ty nie będziesz krzywoprzysiężcą! Przysięgnij mi, że żyć będziesz tylko dla sztuki!

ODROBINA (*przerażony*).

Maryo!

MARYA.

Przysięgnij — a ręczę za ciebie!

ODROBINA.

Przysięgam! — A jeśli złamię przysięgę — nie będę wart tego, że mnie ziemia z tobą razem nosiła.

MARYA.

Dzięki Ci... uściskaj mnie stary!

ODROBINA.

O Maryo (*całuje jej ręce*).

MARYA.

Teraz odejdź. O n nadchodzi. (*Odrobina zakrywa sobie twarz rękoma — wybiega*).

Scena 7.

MARYA (*sama — idzie ku oknu — siada*).

Powiadają ludzie, że jadowity szkorpion rzucony w ogień, sam się zabija... To czyni zwierzę, nie mogąc przenieść nadmiaru cierpienia — A jednak ono nie zna żadnej innej boleści — krom boleści ciała. (*nalewa wodę w szklankę i wsypawszy do niej trucizny dobytej z za gorsu — wypija*).

Scena 8.

Marya — Henryk.

HENRYK.

Wezwałaś mnie pani — jestem.

MARYA.

Dzięki ci, panie.

HENRYK (*po chwili milczenia wybuchając*).

O Maryo, jakżem nieszczęśliwy!

MARYA

Nie będziesz nim, hrabio.. Zapomnisz o mnie, i zawrzesz związek, wskazany ci przez ojca.

HENRYK

Ja ciebie zapomnąć?!... Nieszczęsna — Dlaczegoż w pierwszej chwili naszego poznania nie odebrałaś mi nadzieji... Dlaczegoż rozdarłaś mi serce, a nie pozbawiłaś wraz życia?!..

MARYA.

Nie mogłam tego uczynić. Czułam się za słabą... Potem było już za późno, — a przedtem zkądże wiedzieć mogłam — kim jesteś...

HENRYK.

O losie! Wszystko mi dałeś — ponieważ to wszystko jest n i c z e m w moich oczach — macoszą ręką wyrywasz mi szczęście, ponieważ to szczęście było życiem mojem... Żebrakom muszę zazdrościć.

MARYA.

Panie Henryku — pan mną pogardzasz.

HENRYK.

Ja lituję się nad tobą.

MARYA.

A jednak — przysięgam, że jestem niewinną. Żadnego nie popełniłam występku, żadnego — chyba słabość nazwiesz występkiem... O dlaczegoż mi wierzyć nie możesz.

HENRYK (*wybuchając*).

Wierzę ci Maryo, wierzę — Daremnie przygłuszyć chcę głos serca, który mnie wzywa do stóp twoich. O Maryo! Ty nie możesz być winną — ty nie możesz stać na równi z kobietami naszego zwykłego otoczenia. Ty nie jesteś upadłym aniołem, ale aniołem, na którego zagubę sprzysięgli się szatani!

MARYA

Ah.. więc pan mi wierzysz... O z tem przekonaniem w sercu, jakże jest miło umierać... (*słania się*).

HENRYK.

Maryo!.. Co tobie?! — (*spostrzega szklankę i porywa ją przerażony*) Nieszczęsna, cóżeś uczyniła?! (*rzuca szklankę i przyskakuje do Maryi*).

MARYA.

Osądziłam sama siebie...

HENRYK.

O dlaczegoż przybyć musiałem za późno!

MARYA.

Zawsze było za późno — Na cóż było się łudzić?... Słyszałeś głos jego, brzmiący jak echo zagrobowe: Kochanka ojca, żoną syna być nie może!

HENRYK.

O Maryo!

MARYA.

Wezwałam Cię do siebie, gdyż wziąść chcę z sobą, tam przed tron sędziego, słowo przebaczenia.

HENRYK.

I cóż ja tobie mam przebaczyć?

MARYA.

Pomimo woli zatrułam ci spokój dni twoich — ale Bóg mi świadkiem — nie moja w tem wina!

HENRYK.

A tobie, czyż go nie zatruto?!

MARYA.

O ja — to co innego... Wierzaj mi.. Rodzą się na ziemi dzieci przekleństwa, których celem jest śmierć, a życiem cierpienie. Henryku — nie odmów mojej prośbie — Przebacz ojcu twemu, jak ja mu przebaczam — (*Henryk milczy płacząc*) Ty milczysz? — Ja mam przed Bogiem stanąć za chwilę — a ty Henryku nie chcesz ulżyć grzesznemu memu sumieniu — O zmaż moją zbrodnię choć w części. Zanieś mu moje przebaczenie — i bądź posłusznym jego woli.

HENRYK.

Ty nie umrzesz — ty nie umrzesz, Maryo!

MARYA.

Dla mnie nie ma tu miejsca... Henryku — mnie tu tak pali... Wypełnij czego żądam od ciebie... pozwól mi umrzeć spokojnie... Przebaczasz mu?

HENRYK.

Przebaczam! Przebaczam!

MARYA.

Ah... Jak mi rwie wnętrzności — ogień krąży w moich żyłach — Boże... miłosierdzia!..

HENRYK.

Ratunku!

MARYA.

Za późno... Matko, przebaczenia!... Za późno.. (*umiera*).

HENRYK.

Maryo!... Maryo!... Jeszcze jedno słowo! — Nie żyje!!! (*stoi chwilę osłupiały chwyciwszy się za skronie — potem rzuca się z okrzykiem boleści ku drzwiom — wchodzi Fabrycy*).

Scena 9.

CIŻ I FABRYCY.

FABRYCY.

I tu jej nie ma?! — Ha — przeklęcie! Więc to prawda: Emilia uciekła z baronem!

HENRYK.

Milcz pan — Czy widzisz tego trupa?

FABRYCY (*z przerażeniem*).

Zabiła się!

HENRYK.

Nie! — To wyście ją zabili! a teraz precz podły! — Nie kaź twoim oddechem tej świątyni ofiar! (*Fabrycy drżąc opiera się bezsilny o drzwi i ociera pot z czoła*).

Scena 10.

CIŻ I EDWARD.

EDWARD.

Cóż to synu — ty jeszcze tu?

HENRYK.

Tu ojcze — tu jest moje miejsce — tu jest także i twoje miejsce, ojcze.

EDWARD.

Co to znaczy?

HENRYK (*dotykając się jego ramienia*).

Spojrzyj tam, ojcze... (*wskazuje na Maryę*).

EDWARD (*przyskakując do trupa*).

Nie żyje!

HENRYK.

Masz jej przebaczenie — masz i moje posłuszeństwo, bo tak jej przysiągłem.

EDWARD.

O ja nikczemny! (*klęka u nóg Maryi i rzuca się na jej ciało*).

HENRYK.

O klęknij ojcze.. klęcz przy tych zwłokach, bo to są zwłoki — świętej kobiety! (*klęka przy ojcu*).

(ZASŁONA SPADA).

KONIEC.

Nakładem księgarni ZELMANA IGLA przy ulicy Syxtuskiej Nr. 131 $^2/_4$.

Bibliote ki teatralnéj lwowskiéj wyszło dotąd 10 zeszytów.

Zeszyt I. Urbańskiego A. „PODLOTEK“ komedya w 4 aktach oryginalnie wierszem napisana 1868. 1 zł.

Zeszyt II. Fredra J. Alex. hr. „PRZED ŚNIADANIEM“ obrazek w 1 akcie napisany prozą 1868. 30 ct.

Zeszyt III. Godebskiego X. „KTO POD KIM DOŁKI KOPIE SAM W NIE WPADA“ przysłowie dramatyczne w 1 akcie wierszem napisane 1868. 30 ct.

Zeszyt IV. Korzeniowskiego A. N „AKT PIERWSZY“ dramat 1869. 30 ct.

Zeszyt V. Urbańskiego A. „POCHÓD Z POCHODNIAMI“ krotochwila w 1 akcie na stosunkach galicyjskich osnuta 1869. 40 ct.
na lepszym papierze 50 ct.

Zeszyt VI. Bałuckiego M. „POLOWANIE NA MĘŻA“ komedya w dwóch aktach 1869. 40 ct

Zeszyt VII. Bałuckiego M. „RADCY PANA RADCY“ komedya w 3 aktach 1871. 75 ct.

Zeszyt VIII. Urbańskiego A. „PO WYSTAWIE PARYSKIEJ“ fraszka dramatyczna w 1 akcie 1871 35 ct.

Zeszyt IX. Koziebrodzkiego Wład. hr. „ZAWIERUCHA“ komedya w 1 akcie 1871. 35 ct.

Zeszyt X. Koziebrodzkiego Wład. hr. „POKUSA“ komedya w 1 akcie, 1871. 40 ct.